

ROK 1846.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH WIERSZEM

PRZEZ

ANDRZEJA EDWARDA KOŹMIANA.

POZNAŃ,

NAKŁADEM I CZCIONKAMI LUDWIKA MERZBACHA

1868.

1827

THE

PROCEEDINGS OF THE

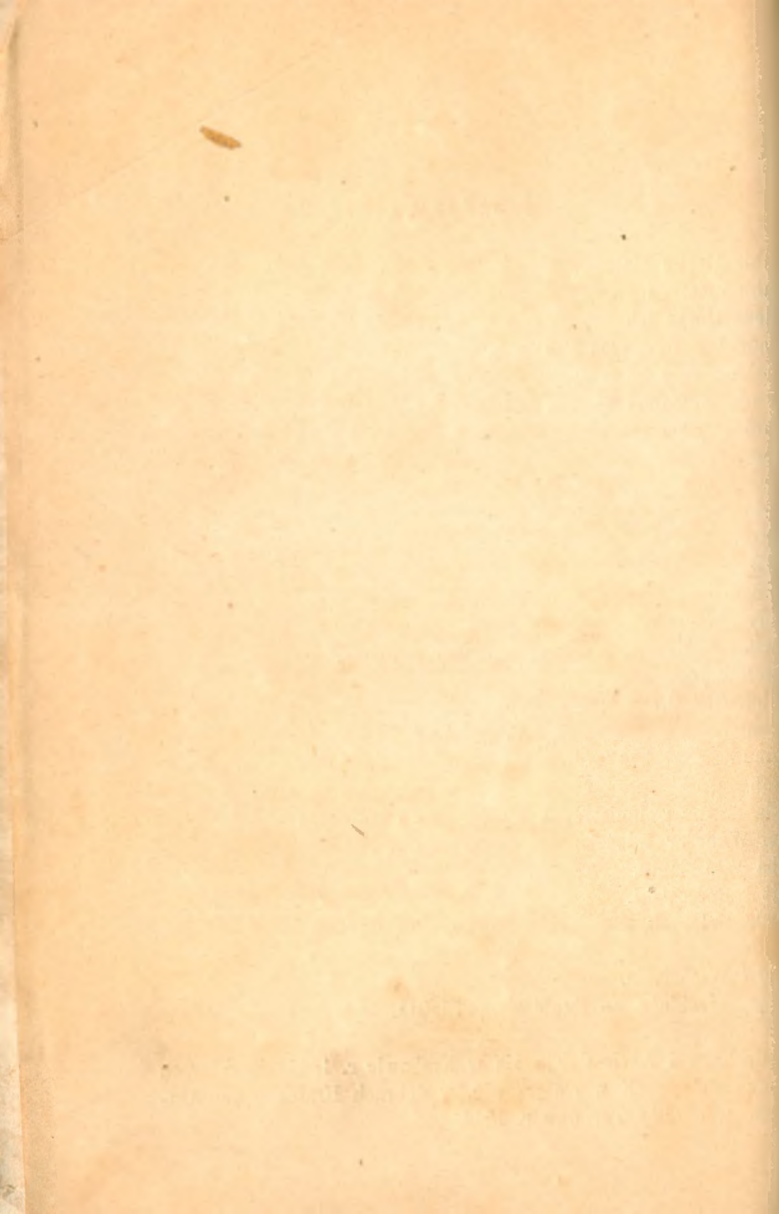
LEGISLATIVE COUNCIL

OSOBY.

- Hrabia Herbu Nałęcz.
Hrabina Żona jego.
Helena Córka ich.
Władysław Synowiec Hrabiego.
Henryk książę na Zbarażu. —
Gustaw przyjaciel księcia.
Konrad.
Literat.
Guwerner.
Adwokat.
Doktor.
Rządca.
Mandatariusz.
Młody Szlachcic.
Gottlieb Wolfgang pierwszy komisarz rządowy.
Sekretarz jego.
Hrabia Gastold.
Kazimierz.
Zygmunt.
Witold.
Tekla dawna Ochmistrzyni Władysława i Heleny.
Józef Wanczar Włościanin z Nałęczowa.
Skiba Włościanin.
Wojt Nałęczowski.
Bruzda Urlopnik.
Sarna.
Wojci i Włościanie. —
Służący Hrabiego. — Panie z Sąsiedztwa. —

Sąsiedzi i przyjaciele
Hrabiego i księcia.

Rzecz w I Akcie dzieje się w Krakowie r. 1845. W czterech
Aktach następnych w Nałęczowie, w dobrach Hrabiego nad Du-
najcem, w okolicy Tarnowa r. 1846.



AKT I.

Scena I.

Teatr wyobraża cukiernię w Krakowie — rozstawione sto-
liki, przy których różni goście siedzą — przy jednym zasiadł
Wolfgang. — Wchodzi Adwokat i Literat.

LITERAT

(do Kelnera.)

Cygaro — Poncz — Dzienniki. —

(do Adwokata.)

Siądźmy tu na boku

I czekajmy na naszych. —

ADWOKAT

(wskazując na Wolfganga.)

Ten ma nas na oku,

To szpieg, bądźmy ostrożni. —

LITERAT.

Moja twarz nie znana,

Jak wiesz, dzisiaj z Poznania, przybyłem tu z rana,

ADWOKAT.

Cóż w Poznaniu?

LITERAT.

Wybornie — cały kraj gotowy,

A w Galicyi?

ADWOKAT.

Część Szlachty, wciągnięta do znowy.

LITERAT.

A lud. —

ADWOKAT.

O, lud jest z nami

WOLFGANG

(na stronie.)

Trzeba śledzić obu.

Strzegą mnie się — innego szukajmy sposobu.

(wychodzi)

ADWOKAT,

A więc dobre nadzieje? —

LITERAT.

Pewność, nie nadzieje,

Na czterech rogach gmachu, skryty ogień tleje,

I nie długo wybuchnie. —

ADWOKAT.

Przemoc go, nie zgasi,

Gdy cały gmach ogarnie — Otóż idą nasi.

(wchodzi Doktor. — Guwerner — Rządca
wchodzący witają się z Literatem.) —

DOKTOR.

Witaj

LITERAT.

Witajcie bracia!

ADWOKAT.

Siądźmy przy tym stole,

Lecz Konarda, nie widzimy jeszcze w naszym kole,

(Wolfgang wchodzi i jego Pisarz)

WOLFGANG

(przy drzwiach do Pisarza.)

Blisko tych siadź — uważaj — nadstaw pilnie ucha
A ciekawego może, czegoś się dosłucha.

(Wolfgang siada na dawnym miejscu, Pisarz na przeciwnej stronie
obok zgromadzonych około stołu.)

ADWOKAT

(przerzucając dzienniki głośno.)

Pokój — spokojność w świecie. —

GUWERNER

(z ironią.)

Czy tak dziennik pisze.

LITERAT

(cicho.)

Tém lepiej — nasza chwala, że przerwiem tę ciszę,
(wchodzi Konrad wita się z wszystkimi.)

KONRAD.

Witam was — czyśmy wszyscy?

(spoztrzegłszy Wolfganga, idzie do niego, i wita się.)

Witam komisarza

Jakiż to traf szczęśliwy, to spotkanie zdarza —

10

WOLFGANG.

Jestem tu, od dni kilku, i jeszcze zabawię.

KONRAD.

Może przecież odwiedzić, zechcesz mnie łaskawie,

Ja jak zawsze, w Hrabiego pałacu się mieszczę,

(ciszej.)

A więc się zobaczymy, i pomówiem jeszcze.

(wraca do towarzyszków.)

ADWOKAT.

Znasz go? to szpieg podobno. —

KONRAD.

Nie wierz przyjacielu
On do naszych należy — znam go od lat wielu,
Chociaż Austryakowi, służy na urzędzie
Jednak on, jak my myśli, nawet z nami będzie.

DOKTOR.

I cóż słyhać nowego?

KONRAD.

Dobrze, idzie praca,
Władysław dziś z Paryża, z zleceniami wraca,
Edward w chłopskiej siermiędze, zaszedł do Gorali
I wszystko przygotowuje, i ogień zapali,
Wieczorem o dziesiątej, dziś u mnie narada.

ADWOKAT

(do sąsiada.)

O dziesiątej się zbierzem.

LITERAT

(ciszej do sąsiada.)

Dzisiaj u Konrada.

KONRAD.

Rozejdźmy się nieznacznie. —

(mówią z sobą po cichu, i jeden po drugim wychodzą)
(Wolfgang gdy wyszli, daje znak Pisarzowi, ten się zbliża.)

PISARZ.

Dziś wieczorną porą
Wszyscy się na naradę, do Konrada zbiorą.

WOLFGANG.

Dobrze jest i to wiedzieć. —

(do Pisarza.)

Lecz milczeć głęboko
A wszędzie niech ich nasze, pilnie śledzi oko.
(wychodzą.)

Scena II.

(Pałac Hrabiego w Krakowie.)

HRABIA — HRABINA.

HRABINA.

Uspokój twą troskliwość — wypogódź twe czoło,
I na przyszłość spoglądaj, ufnie i wesoło. 20

O ciesz się raczej świetnym, twój Heleny losem,
Że w wyborze, za serca swego poszła głosem.
Wiem ja, że inny związek, wchodził w twe zamiary,
Lecz się nie wahaj z niego, uczynić ofiary,
Dziś gdy serca Heleny znasz już tajemnice,
My tylko poświęceniem, żyjemy rodzice.
Więc jój szczęściu, powzięte poświęć myśli twoje,
I jój przyszłością razem, cieszymy się oboje.

HRABIA.

Nie taję, droga żono! że ten związek ślubny
Każdemu ojcu, byłby zaszczytny i chlubny.
Świetnych zalet, przymiotów księciu ja nie przeczę,
Lecz jak zwodne, i marne marzenia człowiecze.
Ja który od tak dawna, karmiłem nadzieje,
Że me dostatki, mienie, na mój ród przeleje,
Że ten który był brata, dziecięciem jedynem
Któremu byłem ojcem, jak on mi był synem,
Zyska serce Heleny, sam jój wytrwa w wierze,
I że jemu to, przyszłe jój szczęście powierze.
Dziś widzę, że nie sprawdzi się sen, tak mi luby
I że mi inne przyjdzie, błogosławić śluby. 30
Ale ich miłość, była dziełem jednej chwili
I nasze zezwolenie, tak prędko zdobyli.
Trzeba było odwlekać. —

HRABINA.

Nadaremna zwłoka

Miłość jój była nagła — a już jest głęboka
 Jest to rzeka, co nagie wytryska z opoki
 I już przy źródle, porze sobie nurt głęboki.
 Znasz Helene — wiesz dobrze, jak to drogie dziecko
 Wśród wdzięku niewinności, w pierwszej wiosny kwiecie
 Ma już nad wiek dziewiczy, duszę umocnioną,
 Wiesz jak żywe uczucia, wśród jój serca płoną,
 Jaka moc jest, w jój woli, — że nie raz dziwiła,
 W téj lilii wzniosłej, czystej, taka dębu siła,
 Potrafi ona uleż, rodziców swych woli,
 Zniosłaby dla nas boleść, i ciężar niedoli,
 Poświęciłaby miłość — czucie, szczęście swoje,
 Lecz właśnie poświęcenia takiego się boję,
 Bo gdy będzie cierpiała, wśród milczenia skrycie,
 To cierpienie by właśnie, strawiło jój życie.
 Czy możesz tego żądać?

HRABIA.

Ja jój szczęścia żądam,

Będę szczęśliwy — niech ją szczęśliwą oglądam.
 Lecz pomnąc że przed laty, po bolesnej stracie,
 Przybrałem ja za syna, sierotę po bracie,
 Że spoczywa nadzieja na nim, mego rodu,
 Powiedz sama, czy nie mam do żalu powodu.
 Gdy z Heleną, dziecinne płynęły mu lata,
 Rosła ciągle dla siostry, miłość w sercu brata,
 Lecz coraz żywszą barwę, nabywała z wiekiem,
 Aż na niej szczęście oparł, zostawszy człowiekiem.
 Dziś — jutro wróci. — Mamże za jego powrotem,
 Na powitanie, w serce ugodzić go grotem.

Mamże od razu zabić, w dniu jego przybycia,
 Wszystkie jego nadzieje, i marzenia życia,
 Ah! to są męki dla mnie.

HRABINA.

Niepotrzebne męki,
 Jakże wiesz że on zawsze ceni dar jój ręki.
 Gdy Władysław w nim szczęście znajduje jedyne,
 Straciwszy je, niech sobie sam przypisze winę,
 Czemuż pobytu swego, zakrajem nie skrócił,
 Gdyś go naglił o powrót, czemu nie powrócił,
 Czemu zwłoce, pozorne nadawał powody,
 Iony przedmiot, już musiał zająć umysł młody, 50
 Upoił się stołecznych miast, zwodnym urokiem,
 I na przyszłość swą, innym już spogląda okiem.
 Wiesz jak młodość, dziś zwłaszcza jest lekka i płocha,
 Pewnie ją przestał kochać.

HRABIA.

On ją zawsze kocha. —
 Czyż jego umysł męski, jeszcze ci nie znany,
 W raz powziętych uczuciach, nie zdolny on zmiany,
 Wiara — Ojczyzna — Syna pobożność — i Sława,
 Same tylko królują, w duszy Władysława.
 A miłość dla Heleny, jakby kwiat w rozwiciu,
 Nadaje, cały urok i woń jego życia. —
 Każde uczucie, równie w nim silnëm, jak trwałëm
 Dojrzałość męża, łączy z młodzieńczym zapałem.
 Dla tych których ukochał, dla czci swój przedmiotów
 Do najtrudniejszych ofiar, i poświęceń gotów.
 Żadne niebezpieczeństwo, strwożyć go nie zdoła,
 W grzmotne chmury, pogodę wznosi swego czoła.

Takim to jest Władysław; łatwo do pojęcia,
 Ze w tym synu kochanym, chciałem ujrzeć zięcia,
 A dziś, zamiast mu jego, szczęście przynieść w darze
 Za jego posłuszeństwo, dla nas go ukarze,
 Bo wymogliśmy na nim, jego przyrzeczenie,
 Ze nie wyjawi, swojej miłości Helenie,
 Ze nim nam, wytrwałości swęj złoży dowody,
 Wyznaniem, nie zakłóci, jej serca swobody.
 Tak umiał ukryć przed nią, swe czucia, zamiary,
 Ze téj miłości jego, dziś odmawia wiary.
 Ja nie zdolny, znieść jego cierpienia widoku,
 On z ust mych, nie usłyszy nieszczęścia wyroku,
 Niechaj nie wraca do nas, — już przez pismo wolę,
 Objawić mu los jego, i całą niedolę. —

HRABINA.

Pisz więc — niech wśród Paryża, pobyt swój przedłuż
 Nie spiesznie mu téż do nas wrócić z téj podróży.

(Służący wehodzi.)

SŁUŻĄCY,

Hrabia Władysław wrócił, i zaraz tu stanie.

HRABINA.

Boże!

HRABIA.

Przebóg! jakież to będzie powitanie.

HRABINA.

Wrócił — a więc ją kocha.

HRABIA.

Możnaż było wątpić? —

Ja mu prawdy nie wyznam; Ty mnie chciéj zastąpić.

HRABINA.

Jeśli ją kocha zawsze — a kocha bez zmiany
I jam nie zdolna — zadać mu tak krwawej rany.

HRABIA.

Lecz gdzie on — po co zwleka radość powitania.

SŁUŻĄCY.

Na chwilę, do swojego, udał się mieszkania.

O toż On. —

70

Scena III.

HRABIA — HRABINA — WŁADYSŁAW.

WŁADYSŁAW

(ściskając ręce Hrabiego i Hrabiny.)

Ojczy! Matko! witam was ze łzami

Co to za szczęście znowu, połączyć się z wami.

Lecz zkąd to pomieszanie? jakiéjs trwogi bladeść

Gdy moja mówi do was, wasza milczy radość,

Gdzież Helena?

HRABIA.

Pospiesz, aby cię powitać.

WŁADYSŁAW.

Więc cóż znaczy wasz smutek?

HRABIA.

Nie — nie chciéj się pytać.

WŁADYSŁAW.

Czy dla mnie jaka, w sercu ojcowskiém, matczyném

Zaszła zmiana?

HRABIA.

Ty zawsze jesteś, naszym synem.

Lecz miłujący czasem, na tę mękę srogą,
Skazani, że miłości swój dowieść nie mogą.

WŁADYSŁAW.

Cóż to powiedzieć chcecie? co znaczą te słowa
Myśl nabita zabójczym strzałem, w nich się chowa,
Jakieś straszne nieszczęście, kryjecie przedemną,
Powiedzcie, czy Helena będzie mi wzajemną,
Czyli prawda, że codzień nowi wielbiciele,
Zdobyć pragną jój rękę, — i że na ich czele
Wystąpił przed innemi, ze Zbarażu książę.
Gdy wieść ta do mnie doszła, spiesznie do was dążę
Błagać o prawdę.

HRABIA.

Kryć jój tobie, nie należy,
Tak, wielu wystąpiło, z celniejszej młodzieży.
Ale najsilniejszego dowody zajęcia,
Które w miłość, już wzrosło, odbiera od księcia.
Widząc jak zapłonęła ta miłość zapałem
Nagliłem cię o powrót, — mem pismem wzywałem.
Ach czemuż nie wrócił?

WŁADYSŁAW.

Chciałem ptaka lotem,
Na pierwsze pismo wasze, stanąć tu z powrotem,
Cudza sprawa, nie moja lecz mnie powierzona,
I którą tajemnicy, niech kryje zasłona,
Gwałt zadała méj woli, wstrzymała me kroki
Przyjaźń to mnie skazała, na mękę téj zwłoki,
Dziś wracam, dziś wyznania, wzbraniać nie będziecie
Zwierzycie méj miłości, wasze drogie dziecię. —
Odmową usuniecie, i innych i księcia,
Tego który wam synem, przyjmiecie za zięcia.

HRABIA.

W naszym wyborze, zawsze byliśmy wytrwali,
A miłość twą Helenie, jużesmy wyznali.

WŁADYSŁAW.

I jakże ją przyjęła?

HRABIA.

Wierzyć jej — się wzbrania,
A wiarą nie odpycha, Henryka wyznania.

WŁADYSŁAW.

Niech ją ujrzę — a o mych czuciach się przekona

HRABIA.

Twierdzi, że przyrzeczeniem, z tobą nie złączona. ⁹⁰
Że pierwsze do jej ręki, prawa nabył książe,
I że ją z nim, danego słowa świętość wiąże.

WŁADYSŁAW.

I wyście zezwolili!

HRABIA.

O mój Władysławie!

Z rozdartém sercem, całą prawdę ci wyjawie,
Lecz winiące nas żalu, zamknie w sobie dźwięki
Równe są twój boleści, serca mego męki. —
Twoje słońce, przy wschodzie, zaszło we mgłę ciemną,
Moje zachodząc, w chmurze zagasło, przedemną.
Lecz przy pierwszém spotkaniu, na pierwszy rzut oka,
Ocknęła się ich miłość, żywa i głęboka. —
Próżne były me prośby, zakłęcia, błagania,
Serce młode, ku radom nie łatwo się skłania,
Objawiła nam wkrótce nieugiętość woli,
Wiecznie z dolą Henryka, złączenia swój doli. —

Gdym jój wyznał, twą miłość i bliskie przybycie,
 Zdawała się, powrotu twego lękać skrycie,
 I codzien w przedsięwzięciu swoim, więcej stała,
 Gdym ją błagał o zwłokę, o pospiech błagała,
 W tym ciągłym niepokoju, i serca obawie,
 W oczach nam naszych wiedla, i niknęła prawie;
 Henryk naglił — i widząc niezłomność wyboru,
 Nie mogliśmy już, wytrwać w stałości oporu.
 Ulegliśmy, — ach przebacz — serce twe przebacz,
 I nie usłucha głosu, chwilowej rozpacz,
 I może przecież z czasem, dość ci będzie na tém,
 Ze nam synem zostaniesz, — a jój zawsze bratem.

WŁADYSŁAW.

Jój bratem? Jakże nagle życie mi się zmienia;
 On mi wszystko wydziera, — nadzieje — marzenia.
 Niechaj więc przeciw memu, życiu stawi życie,

(do Hrabiostwa.)

Wzbroniliście mnie szczęścia — zemsty nie wzbronicie

HRABINA.

Ta gwałtowność uniesień, cóż zmieni w twój dol
 Czy zatrwoży Henryka? Helene zniewoli. —
 Chcesz że spokojność domu naszego, zamącić,
 Chcesz że Helenę zabić, nas do grobu wtrącić.
 Uspokój się, — wszak mimo twych nadziei straty,
 Mamy u ciebie prawo, do innój odpłaty.

WŁADYSŁAW.

A więc niech ją zobaczę, niechaj przed nią stan
 Niechaj wyleję przed nią, me serce wezbrane,
 A jeśli dawne czucia, wzbudzę w niej, na nowo,
 Jemu z orężem w rękę, wydrę wzięte słowo. —

HRABIA.

A więc sam ją zapytaj. — Ja prośby ponowie,
Lecz jeżeli zabójczém słowem, ci odpowie
Nas przecież nie obwiniaj. —

WŁADYSŁAW.

Nie — ja was, nie winie,
Ja moje przeznaczenie, oskarzam jedynie,
Są ludzie na téj ziemi, dla szczęścia zrodzeni,
Każda im chwila życia, światłem się promieni,
Cokolwiek ich marzenie, lub nadzieja stwarza,
Tém wszystkiém, z przychylnością niebo ich obdarza,
Jakikolwiek ich życie, praca i zasługa,
Los ich myśli uprzedza, jak gorliwy sługa,
W burzy powszechnéj, straszny huczącej łoskotem,
Co dla innych piorunem, to dla nich jest grzmotem.
To są wybrańcy ziemi. — A są inni ludzie,
Co ciężkie życie, wloką w cierpieniu i w trudzie,
Na twarde skały, pnąc się kamienistą drogą,
Na chwilę odpoczynku, zarobić nie mogą.
Próżno szczęście i pokój, wyrabiają pracą.
Bo nie dojdą gdzie dążą, co miłują stracą. —
Nie dla nich, są dni chwały i lata swobody,
Trudy ich bez odgłosu, — cnoty bez nagrody, 120
Ścieszkę ziemską, kroplami krwi, znacząc po sobie,
Szczęście, pokój, dopiero w ciemnym znajdują grobie.
Lecz dość skarg. — Po co walczyć przeciw przeznaczeniu,
Niech się szczęśliwi skarżą — my cierpmy w milczeniu.

HRABIA.

Po co się w ciemną rozpacz, twa dusza zacieka,
Przed tobą jeszcze przyszłość otwarta daleka,

Ledwieś mężki wiek zaczął, a już z czołem w znoju,
Zrzekasz się, skarbów życia, szczęścia i pokoju.
O toż Helena, (do Hrabiny) idźmy.

WŁADYSŁAW.

Czy mnie opuszczacie.

HRABIA.

Lepiej, sam z nią pozostań
(wychodzi Hrabia i Hrabina.)

Scena IV.

HELENA I WŁADYSŁAW.

HELENA.

Witaj, drogi bracie! —
Dzisiaj twój powrót do nas — możesz mi dać wiarę
Szczęścia domu naszego, uzupełnia miarę. —

WŁADYSŁAW.

Tak wiem o szczęściu twojém, i tylko się dziwie.
Zeście je tak przyjęli — nagle — i skwapliwie.
Wszak się tak zwykle dzieje, że dziewica młoda,
Waha się, nim do wiecznych ślubów, dłoń swą poda.

HELENA.

Po co zwlekać, gdy jedném uczuciem przejęci,
Okazaliśmy zgodność i myśli i chęci. —
Gdy nas święta, serc naszych złączyła przysięga,
Którój żadna już ziemską, nie zerwie potęga.
Wybłągałam, téż łzami ojca rosząc rękę,
Ze zezwoleniem skrócił, niepewności mękę. —

WŁADYSŁAW.

Świetny związek — w istocie po co było zwlekać
Ale do gry obłudnej, nie chcę się uciekać. —

Dziś, tutaj, serce moje, wszystko ci wypowie
 Wszystko, co ci już za mnie, wyznano w połowie.
 Znasz więc już miłość moję — wiedz że w życiu całym,
 Ciebie tylko, — i ciebie jedynie kochałem,
 I dziś choć twoja niechęć, w grobie me sny grzebie,
 Ciebie tylko, — i jeszcze tylko Kocham ciebie.
 Tyś mnie dawniej kochała, — mniemałem że z wiosną,
 Życia twego, — te czucia rozkwitną, i wzrosną,
 Ja moje, jakby świętą kryłem tajemnicę,
 Kochałem i milczałem, tak chcieli rodzice,
 Lecz ty, choć równém czuciem, nie odpłacasz wzajem
 Odgadłaś — żeś mi wszystkiém. — Życiem, światem, rajem.
 Że z tobą, wszystkie znajdą, kres moje nadzieje,
 Przy tobie, życie moje trzykroć spotęźnieje.
 Bez ciebie wszelki ogień ducha zgaśnie we mnie
 I dni życia, mi przejdą marnie, i nikczemnie. 140
 Mów więc, czyli chcesz z tamtym zawrzeć zgubne śluby
 Mów czy chcesz mego szczęścia, czyli mojej zguby.
 Czy litość obudzona, twoję wolę zmienia,
 Wyrzecz wyrok zatraty, lub słowo zbawienia.

HELENA
(na stronie.)

O Boże! cóż mu powiem.

(do Władysława.)

Co słyszę? o bracie!

Cóż tu mi mówisz, o twém zbawieniu, zatacnie,
 Ja ciebie Kocham zawsze, me czucia ci znane,
 Ja nigdy — nigdy być ci siostrą nie przestanę.

WŁADYSŁAW.

Tyś nie jest moją siostrą, — ja cię nie kochałem,
 Jak siostrę, — ale z całym namiętności szałem.

I twe serce, gdy wróg mój, na zawsze je skusi
Kiedy mnie kochać nie chce; nienawidzić musi.

HELENA

(zbliżając się do Władysława, i z czułością biorąc go za rękę.)
Władysławie! ach błagam, miej litość nademną,
Słuchaj — ja ci szczerością, odpłacę wzajemną,
Powiem ci wszystko — co się dzieje w sercu mojem,
Kocham cię zawsze, — z taką swobodą, spokojem,
A ta miłość, tak luba, tak w pogodzie stała,
Że jój, za żadną inną zmienić bym, nie chciała.
Ja ci ufam. — Ty równem odplac zaufaniem
I szczęście naszych uczuć, chciejmy oprzyć na niem — 150
Myślą się rozumiejąc; duszą żyjąc z sobą
Tę miłość zróbmy, życia naszego ozdobą. —
Dla Henryka zaś czucie, jakiego doznaje,
Równie silne, lecz nieco, odmienne się zdaje.
Równem szczęściem, słodyczą, mą duszę napawa
Lecz kłóci ją niepewność — i jakaś obawa
Naprowadza wrażenia, rozliczne i zmienne,
Daje dni niespokojne, i nocy bezsenne. —
Gdy go ujrzę, — silniejsze mego serca bicie,
Zdradza mą niespokojność, acz podwaja życie;
Czyli mnie kocha pytam? czy téż jestem w błędzie,
I czy tak jak dziś kocha — zawsze kochać będzie.
Wreście w jedném się słowie, niech ma myśl wynurza
Z tobą świeci pogoda, — z nim coś wre, jak burza.
Odstoniłam ci serca mego, całą skrytość
I błagam Władysławie, — miej nademną litość.

WŁADYSŁAW.

O jakże się jój oprzeć, głos tego Anioła
Gorycz nawet. rozpaczy, ułagodzić zdoła. —

To co czujesz, malując żywemi wyrazy,
 Przyjaźni — i miłości skryśliłaś obrazy. 160
 Więc ja na przyjaźń tylko — mamże być skazany.

HELENA.

Miłość — czy przyjaźń, ale uczucie bez zmiany.
 Gdy lepszą znajomością, przenikniesz Henryka,
 Nie będziesz już w nim więcej, widział przeciwnika.
 Ujrzysz w nim, jak szlachetnym związkiem się złączyła,
 Wzniosłość wielkiego serca — i umysłu siła. —
 Dwie się dusze szlachetne rozumieją snadnie,
 Jedna drugiej, ukryte bogactwa odgadnie.
 Zyskasz w nim przyjaciela. —

WŁADYSŁAW.

Nigdy przyjaciela,

Różność zdań, różność zasad, nadto nas rozdziela,
 On wielbiciel przeszłości, w swój rodowej dumie,
 Szukać, znaleźć człowieka, w człowieku nie umie,
 On godziwe do swobód, wolności dążenia
 Potępia i szyderyczym, uśmiechem ocenia. —
 On zapomniawszy, starój przodków swoich sławy
 Ogłuchł na głos ojczyzny, oziębł dla jój sprawy
 Wszystkie ku jój dźwignieniu, powzięte zamiary,
 Uważa za szal godny, pogardy i kary,
 Inněj on sprawie służy, i pod innym znakiem.

HELENA.

Nie — on jest równie dobrym, jak i ty Polakiem, 170
 Lecz on wie — że prawdziwa miłość i rozwaga
 Ofiary tych szlachetnych uniesień wymaga,
 Zanadto już ksiązące na Zbarażu plemie,
 Wlało się w nasze dzieje, i wzrosło w tę ziemię,

Aby on na ojczyzny głos, był kiedy głuchy,
 On tylko gorączkowe, potępia wybuchy.
 Za któremi nieszczęścia, upływają krwawe,
 I które głębiej w otchłań, grążą naszą sprawę.
 Lecz niechaj tylko błysnie, odrodzenia słońce,
 I Bóg ojczystej sprawy, powoła obrońce,
 Mienie — krew — życie — pierwszy poniesie w ofierze,
 I zapyta potwarców — czyli wytrwał w wierze.

WŁADYSŁAW.

Obojętność, rozwagi często kradnie znamie.

HELENA.

Nie jedna niecna żądza — miłość kraju kłamie.
 Lecz wiem, zkąd o nim w tobie, takie wzrosło zdanie
 Konrad w swój nienawiści, pewnie wpływał na nią,
 Że odgadłszy go książę — nie szczędzi mu wzgardy,
 On go wini o umysł i dumny i hardy.
 Potwarza go, i zjadłym obryzguje jadem.
 Widzę że przyjaciela, nie gardzisz przykładem. 180
 Otóż on.

(Konrad wchodzi.)

KONRAD

(do Władysława.)

Miłej pewnie rozmowie przeszkodzę,
 Spieszyłem cię powitać, po dalekiej drodze.
 Oddalam się.

HELENA.

Pan zostań — po długim rozdziele,
 Dwóch przyjaciół — ma sobie do zwierzenia wiele.
 Ja odchodzę.

(Helena wychodzi.)

Scena V.

WŁADYSŁAW — KONRAD.

KONRAD

(do siebie.)

Odeszła — i ani spojrzała,
Zawsze w swój nienawiści, i pogardzie stała,
Dobrze — niech i tak będzie. —

(do Władysława.)

Wiesz już, że zameżną
Wkrótce ją na Zbarażu, powitamy księżną.
Cóż mówisz na ten wybór. —

WŁADYSŁAW.

Wybór mnie nie dziwi
Pochwalam go, gdy wszyscy z niego są szczęśliwi.

KONRAD

(wpatrując się w niego.)

I tyś szczęśliwy?

WŁADYSŁAW.

Oto twe listy Konradzie. —
Rada wersalska, w tobie całą ufność kładzie,

KONRAD.

Tyś smutkiem przyciśniony, z jakiejże przyczyny
Gdy wróciwszy zastajesz, szczęście twój rodziny.

WŁADYSŁAW.

Pozostałem tam dłużej, mimo własnej woli,
Czekałem, aż mi Rada, wyjechać dozwoli. —

KONRAD

(na stronie.)

On ją kocha, — odgadłem.

WŁADYSŁAW.

Ustne mam zlecenie,

Z którego tylko samą treść ci tu nadmienię,
 Wkrótce się, w całym świecie burza ludów wznowi,
 Na dane z tamtąd hasło, mamy być gotowi,
 Zamiar pokryć ciemnością, nie omdlewać w trudzie
 W pośród téj nowéj walki, oprzeć się na ludzie,
 Zjednać go dobrodziejstwy, spoić się z nim zgodą,
 By szedł z nami, zachęcić własności nagrodą
 Użyć go jak potężne, w tém dziele narzędzie
 A przez niego ojczyzna, znów byt swój zdobędzie
 Wreszcie się przysposobie, ku sprawie obronie,
 Mieć broń palną dla pieszych, a dla jeźdźców konie.

KONRAD

(po przeczytaniu listów.)

Wszystko przysposobione (czytając) dobrze i w tém zgodą.

(do Władysława.)

Lecz kiedyż do wybuchu, sposobność się poda,
 Jak myślisz?

WŁADYSŁAW.

Na Zachodzie, gdy pożar wybuchnie,
 A oddech wichru, w całym świecie go rozdmuchnie.

KONRAD.

A więc radziłbyś czekać. —

WŁADYSŁAW.

Siłami własnymi
 Z wrogów oczyścić — naszój nie zdołamy ziemi.

KONRAD.

My właśnie, pierwsze iskry, rzucimy pożaru,

WŁADYSŁAW.

I lęka mnie, i dziwi, ta śmiałość zamiaru.

KONRAD.

Śmiałość zamiaru, zdolna trwożyć słabych ludzi
Większe niebezpieczeństwo, większe męztwo budzi,

WŁADYSŁAW.

Nie o sobie ja myślę, — pojmiij mą obawę
Nie o nas tutaj idzie, lecz o naszą sprawę. 200

KONRAD.

Jesteś myśliwym — powiedz, czyli wolisz łowy,
Zapuszczać w ciemne puszcze, czy w bliskie dąbrowy,
Czyli dzielnym łowieckim, przejmuje cię duchem,
Szybka koza, lis chytry, zając z długim słuchem,
Czyli też na trud znojny, twój zapal cię wiedzie,
Ścigać odyńce z kłami, z pazurem niedźwiedzie.
To są wśród łowów twoich, godne ciebie wrogi,
Szczęśliwyś! gdy ich strzałem pościelesz pod nogi,
Gdzie twe życie nastawiasz, tam twa dusza pała,
Gdzie trud, niebezpieczeństwo, tam jest także chwała,
Świętej lecz niebezpiecznej, nie chcesz służyć sprawie
A tu że czas już nadszedł i tobie wyjawie. —
Już — już — grzmot zwiastujący burzę huczy z dała,
Ten pospiech Rada, pismem zachęca, pochwała,
Zima jeszcze nie dojdzie, do kresu połowy,
A bój na całej ziemi polskiej, zawrze nowy,
Wielkopolska, — Królestwo — do walki gotowe,
Galicya jakby jeden człowiek, wzniesie głowę,
Lud wiejski, już jest z nami — naszych skinień słucha,
Spotęźniał — stał się mężem — naszą siłą ducha, 210
Tak więc wszystko nam sprzyja — wróg nasz uspiiony
Legł spokojnie — nie myśląc o środkach obrony.
Za nim się zerwie ze snu, i nim przetrze oczy
Zginie — gdy nawałnica wkoło go otoczy.

WŁADYSŁAW.

Lecz jeśli was te wszystkie omylą rachuby,
I nas i naszą sprawę, popchniecie do zguby.

KONRAD.

Przykuty jesteś do nas, przysięgi łańcuchem
A jednak się zespolić, z nami nie chcesz duchem.
Nadaremne te wszystkie, przestrogi, uwagi,
Mów czyli działasz z nami — czy ci brak odwagi.
Dziś wybierz, — dziś wyboru jeszcze jesteś panem.

WŁADYSŁAW

(w namyśle pogrążony.)

Dość żyłem, — co po życiu od niej oderwanem?
Widzę nibebezpieczeństwo — szału przedsięwzięcie,
I tém się chętniej, w burzy zanurzę odmiećcie,
Jak zacząłem, tak z niemi muszę kończyć drogę,
To może głos ojczyzny, — cofnąć się nie mogę.

KONRAD

(wpatrując się w Władysława.)

Cóż zamyślasz?

WŁADYSŁAW.

Nie, od was — ja się nie oddzielę.

KONRAD.

Nie próżno ci ufali, twoi przyjaciele.
Słuchaj — dzisiaj narada — dziś w mieszkaniu mojem
Ostatnią uroczystą, przysięgą się spojem. 220
Czy będziesz z nami?

WŁADYSŁAW.

Będę. —

KONRAD.

Czekam o pół nocy.

(wychodzi)

WŁADYSŁAW

(sam.)

Stało się, wstrzymać zapęd, już nie w mojej mocy
Trzeba iść z niemi. — Wszystko, więc wszystko w tej sprawie
Jak gdyby gracz w rozpacz, na rzut kostki stawie.

Miłość mą, przechowując w milczeniu głębokim
I przed Konrada nawet, zataiłem okiem.

On nie wie, że w niej szczęście widziałem jedyne,
Że dla niej tylko żyłem — przez nią może zginę.

Zginę, — a jeśli wesprze Bóg nasze zamiary,
I spuści dzień zbawienia, na zdrajców dzień kary,
Wtenczas w zmartwiałem sercu, nową moc obudzę,

I bez szczęścia przeżyję, w ojczyzny usługę

Mściwej żądzy dogodzę, co już tutaj płonie,

Bo Henryka znajdziemy, na przeciwniej stronie

Gdy zasłyniem obroną, narodowej sprawy,

On nosić będzie znamie, zaprzańców niesławny.

(wychodzi.)

Scena VI.

Miejskanie Konrada, — w pałacu Hrabiego.

KONRAD

(sam przechadzając się.)

KONRAD.

On ją kocha, — więc nowa przeszkoda na drodze,
Drugą już na niej skałę, przed sobą znachodzę,
Lecz i takie zapory, kruszy ludzka władza,
Skały się nie przebija, lecz prochem wysadza;

On ją kocha — krył miłość, i mniemał zuchwały,
 Że zasłony nie przedrą, moich spojrzeń strzały;
 Przyjaźń moja dla niego, już lodowacieje,
 Bo gdy ja żadnej — on mógł mieć jakąś nadzieje,
 Gdyby był książe, tak jój serca nie owładał.
 Szczęście co pożądałem, on byłby posiadał.
 Zresztą choć wzajemności, nie wzbudził w Helenie,
 On ma imie, dostatki, urodę, znaczenie;
 Łatwo niemi, dziewicę każdą sobie zjedna,
 Podobna do Heleny, znajdzie się nie jedna,
 Mnie zaś każda odepchnie. — Lecz dość już tej męki
 Daru szczęścia, z kobiecój, nie chcę czekać ręki,
 Tę niedołączną miłość stłumić, w sobie muszę,
 Milcz miłości. — Nienawiść niech pośędzie duszę,
 Znalazłem wprawdzie tułacz, przytułek w ich domu.
 Wdzięczność cięży, jój dłużnym, nie chcę być nikomu,
 Hrabia mnie przyjacielem zowie — mnie tułacza,
 Wygodą, dostatkami, i zbytkiem otacza. —
 Razem się z niemi, z czary uciech ziemskich poje,
 I wszystkiego używam. — To wszystko nie moje. 240
 Ta myśl, gniew, zawiść, w sercu zbolałem obudza,
 Że nie los mnie to nadał, ale łaska cudza.
 Że jedno tchnienie woli — jedno pańskie słowo
 Może mnie, w niedostatku kał, wtrącić na nowo
 Gdy innych mam bogactwa, szczęście przed oczyma,
 Krew mi się burzy. — Serce z zazdrości się wzdyma,
 Bo jakież to do szczęścia, większe są ich prawa,
 Czy nam ich, nie nadaje nasza praca krwawa;
 Oni rodem, dostatkami górują nad tłumem,
 My górujem nad niemi duchem i rozumem

My mężę poświęcenia, — oni samoluby,
 Znają tylko służalstwo, — i podłość rachuby.
 Czyż nie ulegnie nigdy, świat ducha potędze,
 Ten duch, wiecznież ma cierpieć, i ucisk i nędze,
 O nie! wkrótce on zgębi, swoich gębicieli,
 Zagrzmi, — błyskiem zaświeci — i piorunem strzeli.
 Chociaż do biesiadnego, na téj ziemi stołu,
 Z gośćmi zaproszonemi, nie siadłem pospołu,
 Jednak wśród uczyty życia, tak wierzę niezłomnie,
 Kielich kolejny, także kiedyś dojdzie do mnie. 230
 Dalej więc — niech myśl w ciało oblecze się czynu,
 Czynem dzielnym, nie długo, wydzwignę się z gminu.
 A gdy się tę, spruchniałą budowę rozburzy,
 Może schwyćę za władzę, wśród wiru i burzy,
 Może najwyższa na mnie, zleje się potęga,
 I dosięgnę, gdzie dzisiaj nadzieja nie sięga.
 Wtenczas pomszczę się wszystkich mąk które dziś znoszę,
 Tak nienawiść, jak miłość ma swoje rozkosze.
 Wtenczas zegnę się może, przedemną jęj pycha,
 Zmuszę ją przyjąć miłość, którą dziś odpycha. —
 A więc dalej do dzieła. — Otóż idą moi.

Scena VII.

Konrad — wchodzą Doktor — Adwokat — Guwerner — Literat.
 Rządzea — Sędzia dominikalny — Młody Szlachcic.

KONRAD.

Uroczysta przysięga, niech nas dzisiaj spoi.

Dzisiaj już ostatecznie, bracia wam obwieszczę,
 Jak długo do zbawienia, mamy czekać jeszcze,

Oto pisma, w téj chwili nadeszłe z Paryża,
 Już się dzień odrodzenia, wszechświata przybliża,
 Rada naszą gotowość ośmiela i chwali,
 Gdy się tu ogień zajmie i tam się zapali. —
 Wkrótce już nasz lud wiejski, zostanie rozkuty,
 Zasłynie poświęceniem naszym, przyszły luty. 260
 Tak każe dobro sprawy — tak Rada stanowi,
 Na czas wskazany walki, — już bądźmy gotowi.
 Lecz milczenie jak głazu. — Wiecie przyjaciele,
 Jakie zamiarow naszych, istotne są cele,
 Nie przed każdym je wykryć. — Niech myśl ich prawdziwa
 Pod barwą narodowych uczuć, się ukrywa. —
 Tym którzy są ze szlachty — zbytku zaufania
 Udzielać bez rozwagi — roztropność zabrania.
 Za nadto już przesiękli, rodu przesądami,
 Aby w tém wielkiém dziele, chcieli działać z nami.

MŁODY SZLACHCIC.

Choć krew szlachecka we mnie, działam z wami szczerze
 Możecie mnie zawierzyć.

KONRAD.

Tobie tylko wierze. —

ADWOKAT.

W istocie między nami, są także i tacy,
 Którzy tylko chcą Polski, tylko są Polacy.

GUWERNER.

Polska! Ojczyzna! przesąd co dłoń nasza zgniec
 Wyobrażenia w starym zapleśniałe świecie.
 Bo dla nas, którzy wyższej chcemy dopiąć chwały,
 Demokracja narodem. — Ojczyznę świat cały.

KONRAD.

A teraz radźmy, jakie w duchu naszej sprawy,
 Najpierwsze głosić będziem, musieli ustawy, 270
 Każdy z kolei, swoje myśli wytłomaczy.

GUWERNER.

Wezwiemy do powstania najprzód lud wieśniaczy,
 Tam się to znajdują, naszej sprawy bochatery,
 Gdy go uzbroim, w kosy, topory, siekiery. —
 Co już od wieków jego, posiadli ojcowie,
 Że na wieki jest jego, niech się od nas dowie;
 Roboty i daniny opłacane z roli,
 Znoszą się bez opłaty, jak ślady niewoli,
 Lud ten z bronią, niech przodków odzyska spuścizny,
 I stanie jak chłop jeden, do takiej pańszczyzny.

KONRAD.

Zgoda, — później wyrzeczem o lasach i łąkach,
 Które nam do rozdziału, zostaną po panach.

DOKTOR.

Cóż się z panami stanie. —

KONRAD.

Który z własnej chęci,
 Złączy się z nami, — mienie, dostatki poświęci,
 Zostawim go przy życiu, — innych kosy, noże
 Poczęstują — wszak świat się bez nich obejść może.

DOKTOR.

Zadziwiasz mnie Konradzie, zamiarami twemi,
 Wszakże u panów żyjesz i przestajesz z niemi,
 Zkądże na nich, z tak srogim powstajesz zapalem,

KONRAD.

Żyłem aby ich poznać, — gardzę gdy poznałem,

To samoluby pełne zdrady, nienawiści,
Nie będzie świat szczęśliwy, aż się z nich oczyści.

DOKTOR.

Zbrodnia nie uszczęśliwia, grabież nie bogaci,
Chcesz dzieło nasze zacząć, od rzezi współbraci?
Mamyż krwią bratnią złani, stawić się przed światem.

KONRAD.

Ten który jak my myśli, — ten nam tylko bratem
Zresztą nic nie stanowię — bo gdy wzniesiem miecze
O przyszłych losach panów — cały lud wyrzeczę. —

LITERAT.

Wszystkie te przywileje, zaszczyty godności,
Które są hańbą wieku, szyderstwem równości
Znoszą się, wraz z szlachectwem; każdego nędznika
Któryby śmiał ich użyć — niech kara dotyka. —

RZĄDZCA — SĘDZIA.

Zgoda! —

MŁODY SZLACHCIC.

Aby uwiecznić naszą krwawą pracę
Rozkazać zburzyć, pańskie zamki i pałace,
Bo kiedy się już cała, postać świata zmienia
Duma, pycha, niech więcej nie znajdzie schronienia.

RZĄDZCA — SĘDZIA.

Zgoda!

SĘDZIA.

Wszakże się także zabobon zwycięży,
Z dziesięcin, pól — dochodów — obrać najprzód księży,
Jak bogactw używają, ja najlepszy świadek,
Jeśli chcą żyć — niech żyją z jałmużn i ze składek.

(Konrad dzwoni.)

RZĄDZCA GUWERNER.

Zgoda.

RZĄDZCA.

Ostrzem oręza, dosięgnąć bogaczy

Haracz złota i srebra, jakiż się naznaczy.

(Służący wnosi kielichy i flasze z winem.)

KONRAD.

Czasem się przy kielichu, lepsza znajdzie rada,

Na cześć naszego dzieła, wypić nam wypada. —

(rozdaje kielichy i nalewa.)

Niech żyje równość — wolność — braterstwo — swoboda.

WSZYSCY

Niech żyje.

(nalewają drugie kielichy.)

RZĄDZCA.

Wiwat Konrad!

ADWOKAT.

Jego zdrowie — zgoda.

Wyborny jakiś węgrzyn. —

KONRAD.

Hrabiego piwnica

Wiekowym się tokajem naddziadów zaszczyca,

To jego wino.

ADWOKAT.

Ale gdzież jest Hrabia młody,

(Konrad dobywając zegarka)

Wkrótce się złączy z nami. — Zgadujesz powody,

Dla których przyjdzie jego, spóźniłem na chwilę,

(do wszystkich.)

Silny rząd każdą sprawę, ukrzepia na sile,

Abyśmy zapobiegli, wcześniej bezrządowi
Rząd powstańczy, niech wola wasza postanowi.

(nalewa kielichy.)

DOKTOR.

Dość czasu o nim myśleć, gdy nadejdzie pora.

GUWERNER.

Ja żądam dyktatury.

LITERAT.

I ja dyktatora.

ADWOKAT.

Ale kogoż wybierzem.

(Konrad wskazując na doctora.)

Ja Wacława radzę,

(na stronie.)

Oni go nie wybiorą.

RZĄDZCA.

Nie — najwyższą władzę,

Ty jeden tylko możesz, piastować Konradzie,

Ty jeden wzbudzasz ufność, równie w nas, jak w Radzie. ³⁰⁰

SĘDZIA.

Tak Konrad nasz dyktator.

GUWERNER, MŁODY SZLACHCIC.

Konrad dyktatorem.

KONRAD.

Zawstydzacie mnie bracia, ufności wyborem,

Aby dźwignąć ten ciężar, znajdzie siły tyle?

Przecież przed wolą waszą, kornie czoło chyle.

(wskazując na Rządzcę.)

Wielkorządztwo Galicyi, niech Karol owładnie.

ADWOKAT.

Zarząd sprawiedliwości pewnie na mnie spadnie,

KONRAD

(do Literata.)

Tobie z prawa należyć będzie straż oświaty,

(do Guwenera.)

A tobie skarb powierzym.

(z uśmiechem znaczącym.)

Będzie on bogaty.

DOKTOR.

Lecz któż się wojskiem zajmie — kto wodzem naczelnym?

GUWENER.

Ten kto w najpierwszym boju, okaże się dzielnym,
Na polu bitwy, wodza waszego poznać. —

(Władysław wchodzi.)

LITERAT.

Witaj nam.

WŁADYSŁAW.

Witam wszystkich.

ADWOKAT.

Z nami jesteś bracie.

KONRAD

(do Władysława)

Wiedzą wszyscy, że chwila powstania już bliska,
 Że wśród lutego, naród swe prawa odzyska,
 Nim zaś inne powstańcze ustawy wydadzą,
 Najprzód mnie dyktatorską obciążyli władzą,
 I inne dostojeństwa w części już rozdane,
 Ty sobie wybierz jakie. —

WŁADYSŁAW.

Ja w szeregach stane,
 Jak prosty żołnierz z wami pospieszę na boje,
 Mój zaszczyt, gdy za kraj mój przeleję krew moje.

310

GUWERNER.

Bardzo pięknie.

ADWOKAT.

Szlachetnie.

KONRAD.

Wyznam wam zawczasu

Że trzeba nam pomocy, zasiłku, zapasu.

Niechaj więc dziś z nas każdy w swój możności miarę

Na ołtarzu ojczyzny złoży swą ofiarę.

MŁODY SZLACHCIC

(z zapalem składając na stole paczkę banknotów.)!

Wszystko z radością daję, co tylko posiadam.

WŁADYSŁAW.

Ja składam mą ofiarę.

DOKTOR.

I ja także składam.

KONRAD.

Ja także na co stać mnie.

ADWOKAT.

A ja później złożę.

LITERAT

(do Guwenera.)

Z tych darów przecież nam się coś dostanie może.

KONRAD

(dobywając sztyleta i wznosząc go.)

Teraz chwila przysięgi, — niech każdy pamięta,

W jaki łańcuch okuwa, ta przysięga święta.

Każdy pomni, że jesteś z ludzkości szermierzy,

Że gdy zdradzisz, — ten sztylet w pierś twoje uderzy,

Że gdybyś przed powstaniem popadł w wrogów ręce,

Nie dasz się zachwiać trwodze, ani złamać mece,

Wytrzymasz gwałt — męczarnie — chłosty i katusze,
 Masz milczeć, choćbyś w mękach miał wyzionąć dusze,
 Prędzej niż braci wydać na pastwę wrogowi,
 Czyście gotowi umrzeć wszyscy?

(Wszyscy)

Wszycyśmy gotowi.

KONRAD.

Uroczystej przysięgi węzłem, wszystkich sprzęgam,
 Czy wszyscy przysięgacie.

Każdy woła.

Przysięgam. — Przysięgam. 320

(Zasłona spada.)

KONIEC AKTU I.

Akt II.

Teatr przedstawia gospodę w Nałęczowie — w dobrach Hrabiego — nad Dunajcem. — Przy stole siedzi Wojt Nałęczowski — Bruzda żołnierz dymisionowany Sarna gospodarz. — Wchodzi Józef Wanczar i Tomasz Skiba gospodarze — inni włościanie.

Scena I.

BRUZDA

(do Sarny, nalewając kieliszek.)

Do was kumie.

SARNA.

Wypijcie zdrowi.

BRUZDA

(do Wanczara i Skiby.)

Siądźcie z nami,

Ale wy pogardzicie pewnie pijakami.

SARNA.

Pocoście tu w gospodzie — gdyście ślubowali.

WANCZAR.

Pogwarzy się tu troche, — fajeczkę zapali

Odpochnie się po pracy.

BRUZDA.

Cóż nowego wiecie?

Oj, coś złego w tym roku stanie się na świecie,
 Na niebie i na ziemi dziwne wróżą znaki,
 Trzęsą się kruki — kawki — huczają nocne ptaki.
 Od trzech miesięcy słońko już zgasło na niebie,
 Tam czarno, smutno, jakby na pańskim pogrzebie,
 Wicher wisielców huczy na zachodnią stronę.
 I tam wśród nocy niebo, kieby krew czerwone.
 We dworze wilk w południe, rozdarł pańską krowe.
 A na wsi, urodziło się, źrebie dwugłowe.

SARNA.

Mówił mi dziad kościelny, że wśród zawieruchy
 Widział jakieś błędzące po cmentarzu duchy
 W dzwonnicy, o północy złyśzał zalękniony
 Jak niby to na pogrzeb, same były dzwony.

BRUZDA.

O jeszcze bardziej straszne, widziałem ja znaki

WOJT.

I głód będzie — zarazą pruchnieją ziemniaki.

10

SKIBA.

W zamku się na panienki sposobią wesele.

WANCZAR.

W ten dzień pan swym gromadom ma rozdać łask wiele

SARNA.

Co po łaskach — dziś łaska, jutro będzie bieda,
 Pańszczyzny nie daruje, ani chleba nie da.

WANCZAR.

Wyznaj, że pan każdego ratuje w potrzebie,
 Wyznaj, że on już nieraz, także wspomógł ciebie,
 Niechaj Bóg, mu nagrodzi.

SKIBA.

Z panny dobra pani,
Każdy jój błogosławi, nikt jój nie przygani,

SARNA.

Panna iak panna. — Pan zaś jak wszyscy panowie

BRUZDA.

Wojt był wczoraj w cyrkule — może nam co powie.

WOJT.

Słyszałem, alem jeszcze nie dobrze jest świadom,
Ze Cesarz nowe prawa ma nadać gromadom.

(wchodzi Konrad)

To pan Konrad — my dawno go tu nie widzieli
Powrócił przecież do nas, będziemy weseli.

On zawsze coś dobrego powiedzieć nam umie.

KONRAD

(ściskając włościan za ręce — ci powstają.)

Witajcie przyjaciele — zdrowiście.

(do Wojta.)

Wy kumie

Jak się macie? cóż słyhać, chrzestna moja zdrowa.

WOJT.

A gdzież to pan przebywał?

KONRAD.

Powracam z Krakowa.

Cóż tu nowy obyczaj — nikt wam go nie zgani,
Wszyscyście wstrzemięźliwi — i ślubem związani,
Przecież trzeba coś wypić — coś za zdrowie wasze.
Gospodyni, postawcie nam tu wina flasze,
Panowie wino piją, i nam wina dolój,
Pić wino — może przecież przyszła na was kolój.

(Gospodyni stawia butelki z winem i kieliszki.)

SARNA.

Gdzież nas tam stać na wino.

KONRAD.

Może przecież kiedy
Może już nie zadługo, dźwigniecie się z biedy,
Dobrze że lud nie pije, lecz niech wytrzeźwieje,
By poznać swoje nędzę, a powziąć nadzieje,

SARNA.

I jakże się tu pozbyć biedy co nas tłoczy,
Nim kiedyś słońko zejdzie, rosa wyżre oczy.

BRUZDA.

Słysząc, że Cesarz nowe prawa nam przyrzecze,
I że nam lepiej będzie.

KONRAD.

Oj nie wierz człowiecze,
My się tylko własnymi dźwigniemy siłami.

SKIBA.

I cóż my zrobić możem.

KONRAD.

Co zechcemy sami.
Kto was unieszczęśliwa, pytam — któż odpowie?

(Włóścianie patrzą po sobie.)

Milczycie — więc ja powiem. Szlachta i panowie.
Dla kogo pracujecie, ciężko w czoła pocie,
Kiedy wy na barłogu, kto leży na złocie,
Kto danin i pańszczyzny zwałił na was brzemie,
Kto wam zabrał powietrze i wodę i ziemię?
Panowie.

SARNA.

Święte słowa.

KONRAD.

Teraz mi powiecie
Czyli was — czyli panów więcej jest na świecie.

BDUZDA.

Przecież nas więcej.

KONRAD.

A więc chyba z własnej woli,
Znosicie hańbę nędzy i ucisk niedoli.
Raz przejrzyjcie i oczy trzymajcie otwarte.

(wysypuje z kieszeni garść pszenicy i więcej żyta.)

O to mam garść pszenicy — o to żyta kwartę,
Pszenica to panowie, — żyto to włościanie,
Mięszam. — Pszenica zniknie — a żyto zostanie.

WOJT.

Dobry to wcale przykład.

KONRAD.

Tak myślicie Wojcie,
A więc się raz policzcie — i moc swą poczujcie.

(patrzac przez okno.)

Widzę ztąd lasy panów — śliczne w nich są drzewa,
Gdy was mróz ziębi w chatach, ich ciepło ogrzewa,
Chcielibyście się ogrzać, próżne prośby — modły,
Dla was gniją gałązki — a im rosną jodły.
Wspólnie razem rąbano dawniejszemi czasy,
Bóg dał słońce na lato, a na zimę lasy.
Gdy słońce nieba, wszystkim równo świeci w lecie,
Wy się o słońce zimy upomnieć możecie.

SARNA.

To wielka prawda.

WANCZAR.

Przecież nikt nie zmarł, w tej włości

KONRAD.

cz by nie zmarł — zależy od pańskiej litości 40
 czy znacie przypowiestkę o wole i koniu,
 pa razem po pracy pasły się na błoni.
 ół się skarżył na trudy, bicze i niewole,
 ół mu rzekł. — Żle nam prawda — ale głupi wole,
 patrz tylko na chłopca — my jeszcze szczęśliwsi,
 o choć robiem dla pana — ale on nas żywi,
 a chłop pracuje panom — ile im potrzeba,
 jeszcze sam dla siebie, dorabia się chleba.

BRUZDA.

Mądra powieść. —

WANCZAR.

Szczęśliwi możemy być wieśniacy,
 Tu u nas nie źle ludziom, przy uczciwej pracy.

KONRAD.

Przy panach próżno lud się niedoli opędza,
 Póki oni na świecie, póty wasza nędza.

BRUZDA.

Ale jak się ich pozbyć.

WANCZAR.

Tego już za wiele
 Oj nie tak nas dobrodziej naucza w kościele
 W jakim bądź Pan Bóg, stanie postawił człowieka
 Gdy żyje jak przykazał, szczęścia się doczeka —
 Znasz panów, a tak na nich nastajesz zażarcie,
 U nich pomoc w chorobie, w niedostatku wsparcie,

Chciałżebyś téj ostatnieój, pozbawić nas pieczy,
Taka mowa oburza i uszy kaleczy,
Odchodzę, nie chcę służyć. —

(wychodzi.)

SARNA.

Panów — kocha — chwali

A nie dawno mu syna do wojska oddali.

(wchodzą przebrani za włościan Guwerner i Literat)

KONRAD.

Cóż to za nieznajomi?

WOJT.

To jacyś podróżni. —

KONRAD.

Dawaj wina i z niemi flasza się wypróżni;

GUWERNER.

Niech będzie pochwalony.

KONRAD.

Zkąd Pan Bóg prowadzi

LITERAT.

Od Bochni.

KONRAD.

No siadajcie — będziemy wam radzi.

Cóż tam nowego słycać?

GUWERNER.

Słycać bardzo wiele,

Komora się napełni — i młyn nasz zamie.

WOJT.

Co to znaczy?

GUWERNER.

Do żniwa, weźmiem się, co żywo,

Ostrzym kosy, jak brzytwy, na to Boże żniwo.

SKIBA.

nież to żniwo, w zimie. —

LITERAT.

Wy spokojni tacy,
nie zechcecie w krwawój dopomódz nam pracy.

GUWERNER.

Wiecie, jakie u ludu krążą teraz śpiewki,
tańcu je wyśpiewują, parobcy i dziewczki. —

(śpiewa.)

niżcie się pagórki, ale tylko prędko,
niech na całym świecie będzie równusieńko.“

SARNA.

nieżby się tam, tak prędko zniżyć miały wzgórza.

KONRAD

(z zapalem.)

gdym je z ziemią zrówna, pchnięta z niebios burza.

LITERAT

(śpiewa.)

ż czas jest na żniwo, zabrzmiał odgłos wszędzie
Polska pańska — niechaj chłopska będzie.“ 60

WOJT.

gdymby to tak było. —

LITERAT.

Od nas to zależy
tu nie macie chłopów i dziarskiej młodzieży.

GUWERNER

(śpiewa.)

boć zima gotujcie i sierpy i kosy,
gdym niemi ścinać — ale jakie kłosa?!“ —

LITERAT.

Na to pańskie, już cała czeladź jest gotowa,
Z pod Bochni — Wieliczki — Sącza i Krakowa,
Czy nam nie pomożecie, bo my już dnia blisko,
Że nasza będzie rola i las i pastwisko. —

BRUZDA.

O my będziemy z wami. —

GUWERNER.

Tu serca niewieście,
Może tak chcecie zostać, jak teraz jesteście. —
Może wam, jak dziś dobrze. —

SARNA.

Dopomożem w trudzie,
Dajemy na to rękę. —

GUWERNER.

I tutaj są ludzie. —
(wchodzi inny Gospodarz.)

GOSPODARZ

(do Wojta)

Pan komisarz nadjechał, zwołuje gromady,
I was z urzędem wzywa na jakieś obrady.

(wszyscy wstają od stołu.)

WOJT.

Pan komisarz, to idźmy, jakiś rozkaz świeży.

GUWERNER

(cicho do Konrada.)

Komisarz, więc nam wcześniej, wymknąć się należy.

KONRAD.

To Wolfgang — uspokójcie się w waszej obawie,
Widziałem się z nim dzisiaj, sprzyja naszej sprawie.

GUWERNER.

Czy można mu zaufać?

KONRAD.

Dobrze w naszej sztuce
 Odegraliście chłopów — Ja do zamku wrócę
 Wy idźcie, i o żniwie szerząc przepowiednie,
 Nieście iskry, na podpał, na wioski sąsiednie.
 (wychodzą.)

Scena II.

Pokój w zamku Hrabiego w Nałęczowie.
 Helena i Tekla dawna ochmistrzyńi.

HELENA.

Chwila co me życzenia spełni, nie daleka,
 Ze drzeniem niepokoju, serce na nią czeka.
 Chciałabym niebo, jasną rozniecić pogodą,
 Rozsiać w około kwiaty, — stworzyć wiosnę młodą,
 Słyszeć dźwięki radośne i w tém szczęściu mojem,
 Lać pociechy, — obdarzać swobodą, pokojem. —
 Kochać wszystkich, — kochaną także być wzajemnie
 Widzieć w koło szczęśliwych, i jeszcze przezemnie. —
 Pomnąc jakie mi wkrótce, dni radości błysną,
 Łzy się wdzięczności z serca, do mych oczu cisną.
 Już teraz widzę, w części spełnione życzenia,
 Bo mój ojciec Henryka, poznał i ocenia.
 Już wierzy w moje szczęście — i w tém naszym kole,
 Widzę radość błyszczącą, na każdego czole. —

TEKLA.

Ale Hrabia Władysław?

HELENA

(z nieśmiałością.)

To szlachetna dusza,
 On siebie do udziału w tój radości zmusza,
 A ja codzień gorące podnoszę błaganie
 Aby tak znalazł szczęście, jak zasłużył na nie. 80
 Lecz myślmy, jakie mamy dary i pociechy,
 Na dzień zaślubin zanieść, pod wieśniacze strzechy,
 Bo ojciec mi dozwolił — w swój dla mnie miłości
 W ten dzień z hojnością dary zlać na nasze włości.

(służący wchodzi.)

SŁUŻĄCY.

Wanczar przyszedł — czy pani wejść mu tu dozwoli.

HELENA.

Wezwałam go — niech wejdzie. —

(wchodzi Józef Wanczar.)

HELENA.

Wiem o twój niedoli.
 Wzięty twój syn do wojska — lecz Bóg go zachowa,
 (oddając paczkę pieniędzy.)

Weź — tém się jego służba opłaci, wojskowa.

On wróci do rodziców. —

WANCZAR

(padając na kolana.)

Syn mój — to me życie
 Bóg ci i matka Boska — odpłaci sowicie. —

HELENA.

Ale jeszcze mi waszój pomocy potrzeba,
 Mówcie komu brakuje, dobytku lub chleba,

Kto nędzny a pocziwy, — które w włości chaty,
 Zasmuciła przygoda — lub dotknęły straty.
 W dzień mego szczęścia, wszystkich wspomogę, obdarze,
 Niech go same wesołe rozjaśniają twarze.
 A ojciec mój, rzekł do mnie — wśród twych ślubów święta,
 Lud mych włości wydźwignę, niech ten dzień pamięta.
 Zawrę z nim, dobroczynną na wieki ugodę,
 Co mu zapewni własność i pracy swobodę,
 A tak pracownikami, stawszy się wolnemi.
 Będziecie odtąd pruli zagon własnej ziemi.

WANCZAR.

Panienko! tyś jest istnym anioła obrazem.

HELENA.

Idźcie i z Teklą o tём, naradzcie się razem,
 Dary i obdarzonych, wasz wybór oznaczy,
 Wy wiecie, jak miłuję cały lud wieśniaczy.

(wychodzi Tekla i Wanczar.)

HELENA

(sama.)

Wszystkich zniewolę, wszystkie wypogodzę czoła,
 O jest jeden, którego nic ująć nie zdoła. —
 Konrad, ten wierny obraz, zawiści potworu,
 Nie przebaczy mi szczęścia ni mego wyboru
 Pomnę — i oburzeniem cała jeszcze płonę,
 Śmiał on raz mi uczynić wyznanie szalone,
 Bzekł miłości przysięgę — i jakieś zaklęcie,
 Pomnąc to, nie mogę się powściągnąć we wstręcie.
 Ten człowiek mnie przeraża — na jego wspomnienie,
 Czuję w sobie — jak gdyby gorączkowe drzenie.
 Czemuż ojca pozyskał, przyjaźń zaufanie,
 I czemuż on to, pytam? zasługuje na nie,
 Ktoś idzie? to on może. —

Scena III.

Helena — Książę Henryk.

KSIAŹE.

Drogi mój aniele
 Niech twym widokiem, tęskną duszę uwesele,
 Bez ciebie, wszystkie chwile, tak mi zwolna płyną,
 Dniem mi każda godzina, — a chwila godziną. —
 Dopiero gdy cię ujrzę, — twój wzrok mnie ożywi

HELENA.

Czy ty myślisz, jak kiedyś będziemy szczęśliwi,
 Gdy węzły nierozłączne, życia nasze spoją,
 Kiedy ty będziesz moim i ja będę twoją,
 O ja z taką ufnością! tak błogo! tak szczerze,
 W szczęście moje — a zatem w twoją miłość wierze,
 I czuję że wśród życia, pierwsze dni miłośne,
 Wiodą nam dzień, po nocy, a po zimie wiosne.

KSIAŹE.

Jeżliś poznała czucia, dotąd ci nie znane,
 Jakże ja ci określe, losu mego zmianę,
 Miałem wszystko, co jakąś ma cenę u świata,
 Lecz bez ojczyzny, smutne miały mi lata.
 Tyś mi w raj zamieniła, jałową pustynię,
 I odtąd tak uroczy, czas mi życia płynie.

HELENA.

Dzięki c — lecz mam prośbę.

KSIAŹE

(przerywając.)

Użyj twego prawa:

Rozkaż

HELENA.

Wzywam przyjaźni, twój dla Władysława.

Wzywam uczucia brata, ciesząc się nadzieją,
 Że się łatwo, dwie piękne dusze zrozumieją. — 110
 Że bez mych natchnień, przyjaźń połączy was stała,
 Lecz czemużbym przed tobą prawdę taić miała
 On mnie kochał — i marzył nadzieją daremną,
 Że kiedyś wiecznym ślubem, połączy się zemną,
 Nasze szczęście, to jego nadziei utrata.

HENRYK.

On cię kochał, — a ty w nim tylko widzisz brata,
 Teraz już wiem dla czego zimném powitaniem,
 Przyjął mnie. — Nie — my sobie braćmi się nie staniem.

HELENA.

Słuchaj czy ty mnie kochasz?

HENRYK.

Czy kocham? o Boże!

HELENA.

Szczęśliwyś mą miłością

HENRYK.

I któż wątpić może. —

HELENA.

I on mnie kochał, — dzisiaj gdy nadziei niema,
 Może cierpi — może się nieszczęśliwym mniema,
 Bądź szlachetnym. —

HENRYK.

Łatwo się — serce młode zmienia

A lat dziecinnych, zawsze silne wrażenia.

HELENA.

Co wyrzekłeś Henryku? jakie podejrzenie?

Przebóg! czybyś twojej nie ufał Helenie. —

HENRYK.

O nie! ja tobie wierzę.

HELENA,

Uczyń prośbie zadość. —

Podaj mu dłoń braterską — uzupełń ją radość. —

Scena IV.

Helena. — Książę Henryk. — Gustaw. — Władysław.

GUSTAW.

Hrabia mnie, aż w te pani wprowadził podwoje
Przyjmij me powitanie — i życzenia moje. 120

HELENA.

Łatwo ci panie radość, w mém oku wyczytać
Ze przyjaciela księcia, mogę tu powitać. —

HENRYK

(do Władysława.)

Hrabio! jużem cię spotkał — lecz tutaj, w tej chwili
Niech od uścisku, dłoń się twoja nie uchyli.

Gdy Helenę przed ślubne powiodę ołtarze

Z tobą także braterskim związkiem się skojarze

Może przecież ku sobie, serce twoje skłonie.

Gdy się lepiej poznamy, złączym nasze dłonie.

A chociaż ja nie wszystkie zdania twoje dziele

Wierz mi — różnią nas środki, ale łączą cele. —

Tyś dla ojczyzny — wszystko poświęcić gotowy,

Jabym ofiarą życia, skruszył ję okowy.

Lecz mniemasz, że ją zbawi, własna siła nasza,

A mnie zapal niewczesny smuci i zastrasza.

Chociaż się wszyscy, uczuć spojemy łańcuchem,
 Z przepaści, jój nie dźwigniem samym tylko duchem.
 Tybyś dla niej pomocy, nie odrzucił gminu,
 Jabym nigdy motłochu, nie wezwał do czynu.
 Ty tylko kraj swój widzisz, w szlachetnym zapale.
 Ja się nigdy od pewnych zasad nie oddalę, 130
 Łatwo jest, najsilniejszą rozburzyć budowę,
 Ale trudno z jój gruzów wznosić gmachy nowe.
 Lecz chociaż w zdaniach naszych w sprzeczności zostajem
 Możem sobie dłoń podać i cenić się wzajem.

WŁADYSŁAW.

Wyznaniem przekonania, walki zdań nie budze
 A gdy jest szczere, umiem szanować i cudze.
 Mężów celnych, w narodzie cechuje rozwaga,
 W tłumie uczucie serca i zapał przemaga,
 Nie taję, że ja cenię, należąc do tłumu,
 Więcej popędy serca od rachub rozumu.
 Z resztą może nie jeden mieć powody, względy,
 Które serca gorące, hamują popędy
 A nic nie ujmą cności. — Ciebie — ciebie książe
 Do życia przyszłe szczęście — chwała rodu wiąże
 Ja zaś już w żadne szczęście ni w przyszłość nie wierze,
 I ponieść mógłbym życie, bez żalu w ofierze,
 Przekonania mojego twemu, nie poświęcę,
 Lecz pomnę, czyje szczęście złożone w twe ręce,
 Małżonkowi Heleny, jój brat dłoń swą poda,
 Choć wątpię, by nas w zdaniach połączyła zgoda. 140

GUSTAW.

Powinna was połączyć, wszyscy mężę prawi
 Niech się związkiem skojarzą, a ten kraj wybawi,

Różnych objawów spuszczać z oka nie należy,
 Lękam się niewczesnego zapału młodzieży,
 Słuchajcie, pod nogami już huczą naszymi,
 Głuche grzmoty, jak gdyby przed trzęsieniem ziemi,
 Już się cały widnokrąg zachmurza i ciemni,
 Kraj przebiegają, jacyś wysłańcy tajemni,
 Krążą wieści, że knują się w ciemności spiski
 I że nawet wybuchu, powstania dzień bliski.

HENRYK.

Ci coby w szale, buntu roztlili pochodnie
 Godną złoczyńców kary, spełniliby zbrodnie
 I cóż kraj zyskać może, w powszechnym pożarze
 Jedni go tylko mogą zapalić zbrodniarze,
 Którzy niecne motłochu chcą rozkiełznać żądze.

WŁADYSŁAW.

Ja niczyich zamiarów, nie badam, nie sędzę
 Nie wierzę w żadne bunty, nic nie wiem o spisku,
 Lecz cierpliwość się czasem, wyczerpie w ucisku.

Scena V.

Helena. — Henryk. — Gustaw. — Władysław. — Konrad.

KONRAD

Hrabia mnie tu przysyła i wszystkich ztąd wzywa.

HENRYK.

Konrad nam powie, czyli wieść krąży prawdziwa,
 Że się w kraju szalone, gotują zamachy.

KONRAD.

Wieść tylko krąży — powód do trwogi zbyt błachy.

GUSTAW.

Wieść krąży — wieść się szerzy, że się zbroi młodzież,
 Jacyś wysłańcy, w wiejską przebrawszy się odzież,
 Przebiegają kraj cały i swemi namowy,
 Burzą lud, by do buntu wkrótce był gotowy.

KONRAD.

W ludzie naszym zaburzeń nie obudzisz ducha,
 On tylko woli rządu i swych panów słucha.

HENRYK.

Ale może są ludzie bez czci i bez wiary,
 Którzy buntu zbrodnicze uknuli zamiary.

KONRAD.

Władza dość silna, rozruch każdy skarcić zdoła,
 Zwłaszcza gdy swych przyjaciół na pomoc przywoła
 Gdyby ruch w kraju nagle, zawrzał narodowy,
 Pewniebyś książe, dał się pociągnąć do zmowy,
 Stałbyś na jego czele, bo ci służy prawo
 Lud zbrojny wieść do boju, z hetmańską buławą.

HENRYK.

Nie ma już panie dzisiaj buław, ni hetmanów

KONRAD.

Lecz jest zawsze różnica i rodów i stanów.

HENRYK.

I jest i zawsze będzie — bo w błocie i w prochu
 Tarzać się, przeznaczeniem jest zawsze motłochu.

160

KONRAD.

Tarzały się już w prochu, korony i mitry
 Niech Bóg od tego broni. —

HENRYK

(na stronie.)

A człowiecze chytry!

(do Konrada.)

Jeżeli gmin głowe w buncie, podnieść się ośmieli
Nie wyłączysz się pewnie z ludzkości mścicieli.

KONRAD.

Z wami bym przyjął udział w powstaniu narodu
Ale mścić się za innych, nie widzę powodu,
Niech ci się mszczą, co znoszą ubóstwo los twardy,
Ci co doznają wyższych i obelg i wzgardy.
Wyście mojej schronienie użyczyli głowie,
Znam wasze poświęcenie i cnoty panowie.
Wdzięczność mnie z wami łączy.

HENRYK.

Praw ludzkich mściciele

Inne głoszą nauki — wyższe mają cele,
Nie kładą poświęceniu swemu, żadnych granic
Cnoty zwykłe, powszednie, ważą sobie za nic,
Przyjaźni i wdzięczności nie chcą płacić wzajem,
Nie ludźmi się zajmują — lecz ludzkim rodzajem.

HELENA

(do Henryka.)

Po co się szyderczemi odzywasz wyrazy,
Przestań — nie chciój powodu dać mu do urazy.
Ojciec nas wzywa, idźmy.

(wychodzą Konrad sam zostaje.)

KONRAD.

O jeszcze trwa męka

Wezbrało nienawością serce, i już pęka,

Lecz nie pęknie — odetchnie, bo dzień zemsty bliski,
 Ostatnie wzgardy jego, dziś zniosłem pociski.
 Ośmnasty dzień ku nam, szybkim pędzi lotem
 Z dumy zapamiętałej przebudzę was grzmotem
 Choć los dzielnym zamiarom, nie w wszystkiem poszcęści
 Ja celu przedsięwzięca, dopnę chociaż w części,
 Twą zgubą, zgoję książe rozjątrzoną duszę,
 Twoję mitrę książęcą, własną nogą skrusze. —
 Wznosisz z radością, szczęścia twojego budowe,
 Nie wstąpisz w nią — bo żyję — spadnie na twą głowę
 Na cały gmach wasz, spuszczę piorun po piorunie
 Roztrzaskam wasze szczyty i gmach cały runie,
 A choć się w jego gruzach, sam może zagrzebie
 Sam nie legnę, bo niemi przywałę i ciebie.

117

(wychodzi.)

KONIEC AKTU II.

AKT III.

Teatr wyobraża pokój Wolfganga. — Rzec się dzieje w Nałęczowie.
Wolfgang. Sam na stole rozrzucone papiery — on trzyma w ręku
pismo — i przechadzając się mówi.

Scena I.

WOLFGANG.

Ostatnie już rozkazy, nadeszły ze Lwowa.
Przy nich rządu, pochwalne otrzymałem słowa,
Wszystkie moje twierdzenia, doniesienia wnioski
Sprawdziły się i jeszcze sprawdzą, co do zgłoski,
Środki jakie mi przemyśl, nastęrczył w tej sprawie
Których użyć radziłem, rząd chwali łaskawie,
Zaufał mnie — i daje wszelką moc działania,
O jednym środku milczy, lecz go nie zabrania,
Przeczytajmy raz jeszcze, jakimi wyrazy
Rząd nasz, swe ostateczne tłómaczy rozkazy.

(czyta)

„Niechaj zawsze w uśpieniu wydaje się władza
„I wybuchowi buntu niczem nie przeszkadza,
„Gdy wybuchnie, zbytęczna wojskowa obrona,
„Jak ludu chcieli użyć, niech ich lud pokona.

„Więzić wszystkich, pod silne oddawszy ich strażę
 „Postąpić sobie z niemi, jak potrzeba wskaże“
 Co jak potrzeba wskaże? — na tém jedném słowie
 Oprę się i wykonam to co postanowie.

Dogodzę, gdy we wszystkiém nadzieja się ziści
 Dla szlachty i dla Polski, naszej nienawiści, 10
 Przeciwném zdaniem, nie dam wstrzymać się nieczyjém,
 Bo gdy szlachtę wytepiem i Polskę zabijem. —
 Lud się da zawsze użyć, jak ślepe narzędzie,
 I ta ziemia dopiero wtenczas naszą będzie.

A kiedy się tu cugle wypuści ludowi
 Ruch ten, kiedyś i naszych Niemczech się ponowi,
 I nasz też świat germański, także się odmieni,
 Nie będą nami rządzić, świetnie urodzeni,
 Dziś ich zaszczyty, godność i wysoka płaca,
 A w niedostatku gnije zasługa i praca.

Lecz kiedy zetrzem głowę, raz hydrze przesądu,
 Natenczas bez podziału, owładniem ster rządu.
 Tych zamiarów spełnienie, zostawmy czasowi
 Dziś zaś bądźmy do sprawy dzisiejszej gotowi..

Jutro więc ósmnasty, ruszą się szaleńcy,
 Na chwile buntownicy, a za chwile jeńcy.

Rozbrat ludu ze szlachtą, łatwo się wykryje
 Ich przeciw panom — włościan przeciw nim użyje
 Wprawdzie zbliża mnie wspólność zasad do Konrada,
 Ale to Polak — niechaj wraz z innemi pada, 20
 Z nas nikt nie zdrzy, wsparty silném przedsięwzięciem
 Tak szlachtę tu i Polskę zgładzim jedném cięciem.

Scena II.

WOLFGANG. — KONRAD.

(Konrad wchodząc, wpatruje się w Wolfganga.)

W jakimże zadumaniu, toniesz myślą swoją. —

WOLFGANG.

O mam ja, o czém myśleć.

KONRAD.

Czy cię niepokoją

Wieści jakie?

WOLFGANG.

Zwrócona jest moja uwaga

Na lud wiejski — bo duch w nim burzliwy przemaga,
Przewiduję rozruchy.

KONRAD.

Ja ci wyznam szczerze,

Że i ja już w powstanie bliskie włościan wierze.

WOLFGANG.

A ja wyznam; lecz nie zdradź — żądam na to słowa
Tak słaba tutaj nasza jest siła wojskowa,
Że gdyby do silnego, przyjść miało wybuchu,
Nie mamy żadnych środków — do wstrzymania ruchu.

KONRAD.

(na stronie.)

Zdradził się — dobrze wiedzieć.

WOLFGANG.

Duch co się objawia

Trwoży mnie — lud się puści, na gwałty, bezprawia.

KONRAD.

Gdyby na szlachłę, panów ruch został zwrócony,
Czybyś się podjął może trudu ich obrony.
Znam twoję miłość ludu i silne zasady.

WOLFGANG.

Względem rządu, nie mógłbym dopuścić się zdrady,
Lecz wie rząd mądry, baczny na dziejów przestrogi
Że nie lud — ale pany polskie nasze wrogi. —

KONRAD

(na stronie.)

Dobrze — niech więc na szlachtę, najprzód grom nasz spada
Potem z rządem obecnym, łatwa będzie rada. —

(do Wolfganga.)

A więc powstaniu ludu, rząd nie stawi czoła.

WOLFGANG.

Jakaż władza dość silna, co je wstrzymać zdoła.
My nie mamy sposobu. — Lecz jakież twe zdanie,
Kiedy do tego dzieła, wezmą się włościanie.

KONRAD.

Dziś — jutro — pewnie wkrótce.

WOLFGANG.

Lecz w tak wielkiem dziele
Któż niemi pokieruje — kto stanie na czele?

KONRAD.

Zapewne nie chłop żaden — ale z silnym duchem
Znajdzie się wódz, co zdoła kierować tym ruchem.

WOLFGANG.

Na wszystkich panów — lud się zwróci w szale gniewu
Myślisz że się posunie, aż do krwi przelewu? —

KONRAD.

Trudno gmin rozjątrzony, wstrzymać wśród zapału
A może on zażąda, własności podziału.

WOLFGANG.

Ci jednak, którzy będą kierować tą tłuszcą
Może jakich wyjątków, wśród zemsty dopuszczą.
Tybyś bronił Hrabiego — każdemu wiadomem,
Jakie związki wdzięczności, łączą cię z tym domem.
Ocalisz go z płomieni, gdy pożar wybuchnie

KONRAD.

Na głos dobra ogółu, wdzięczność we mnie głuchnie, 40
Niewdzięczność niech przesady moralności skruszy,
Szczytną niepodległością, będąc silnej duszy.
Zresztą co było w górze, niechaj się uniża,
Kiedy świat do prawdziwej równości się zbliża.
Już czas zwycięstwa nadszedł — cierpliwość zbyt długa,
Niech przywilój upada — wznosi się zasługa. —
Wspomnij tylko na siebie — ja sam byłem świadkiem
Jak długo się musiałeś łamać z niedostatkiem.
I teraz miewasz ciężkie chwile do przebycia.
Łakniesz — a nie nakarmisz głodu uciech życia
Brak cię nie jeden gniecie, wraz z dziećmi i z żoną,
Kiedy oni tam w zamku wpośród uciech toną.
Tam uczyły i biesiady — jutro sute gody,
Będzie liczne zebranie — i książę pan młody.
Ludem łatwo, jak martwem kierować narzędziem
Wierz mi — czas się już zbliża, że my świat posiędziem

WOLFGANG.

Więc chcesz kierować ruchem. —

KONRAD.

Ja się nie tłumaczę.

Mówię tylko — że bliskie powstanie wieśniacze.
 Nie wiem co ze mną będzie — ty powiedz otwarcie
 Czy w każdym razie — mogę liczyć na twe wsparcie. ⁵⁰

WOLFGANG.

Znasz mą przyjaźń — lecz jedną tę przyjmij przestrożę
 Że jednym wrogom rządu, w pomoc przyjść nie mogę.
 Rozumiesz mnie. —

KONRAD.

Rozumiem.

KONRAD.

Więc przy tém zostajem.

Bez obszernych tłumaczeń pojmuję się wzajem.

(wchodzi Sekretarz.)

SEKRETARZ.

Gromady już zebrane, na rozkaz czekają.

KONRAD.

Odchodzę.

WOLFGANG.

Ja się prędko ułatwię z tą zgrają.

Mam im coś tam ogłosić.

KONRAD

(wpaturując się w Wolfgenga.)

Wdmuchnij też w nich ducha.

WOLFGANG.

To do mnie nie należy i lud mnie nie słucha.

KONRAD.

Jeszcze się zobaczymy — chcę wezwać twój rady.

WOLFGANG.

Bardzo chętnie — z twej strony nie lękam się zdrady.
(Konrad wychodzi i Sekretarz.)

WOLFGANG

(sam.)

A chciałeś mnie wybadać — uwieść — na tém sztuka
Który z nas dwóch którego — zbada — i oszuka.
Ich najprzód, chciałbyś pożreć zemsty paszczą krwawą.
A potem paść się nami, jakby smaczną strawą.
Co to jest gmin? — broń palna — użycie tej broni
Zależy od zręczności kierującej dłoni. —
Nie nabita — ma tylko moc prostego kija.
Nabojem ją uzbrosisz — strzela i zabija.
Kiedy nabój za mocny — zbytńia prochu władza
I strzelca pokaleczy — i strzelbę rozsadza. — 60
Teraz ujrzym Konradzie! strzelcze! przyjacielu
Który z nas lepiej strzeli — i trafi do celu. —

Scena III.

Wchodzą Sekretarz. — Wojci z różnych wsi. — Włościanie. —
Wojt z Nałęczowa. — Sarna. — Bruzda. — Wolfgang.

WOLFGANG.

Witam was gospodarze. — Czy drzwi już zaparte
Nie puszczają tu nikogo — i postawić wartę.

WOJT.

Wrócili nasi chłopcy, wysłani na zwiady. —
Na Tarnów jutro do dnia, uderzą gromady.

W Lisiój Górze ma cała zebrać się drużyna,
 Najdą miasto od góry świętego Marcina.
 Ja zaś tu w Nałęczowie, z mą gromadą całą,
 Mam czekać nad Dunajcem, pod nadbrzezną skałą.
 Obiecują — że zaraz zmienią naszą dole,
 Darują nam pańszczyznę, dadzą lasy, role. —
 Każdy ma się uzbroić kosą, albo cepem. —

WOLFGANG.

Może chcecie ich słuchać z posłuszeństwem ślepém,
 Wierzyć ich obietnice, pochlebne, łaskawe,
 A opuścić i naszą i Cesarza sprawę. —

WOJT.

Lud pana komisarza, tylko słuchać będzie

WOLFGANG.

Ja tak myślałem — ale może jestem w błędzie,
 Takeście przyrzekali. —

WOJT

(drugi.)

I przysięgniem znowu,

WOLFGANG.

Może wolicie ufać buntowników słowu,
 Którzy tu z rządem, krwawą walkę chcą zapalić.
 By nas wszystkich wypędzić — i Cesarza zwalić

WOJT

(Nałęczowski.)

My na to nie pozwolim

BRUZDA.

Za ojca Cesarza,

Wszyscy zginiemy.

SARNA.

On nas jak dzieci obdarza.

WOLFGANG.

Bez nas nędzném się panów staniecie igrzyskiem
 Bo któż was bronił przed ich gwałtem i uciskiem.
 Czyli kto z was opieki naszej próżno wzywał,
 Gdy kto miał z panem zajście, czyli pan wygrywał?
 Biada wam, gdy pod panów ugniecie się władzą
 Jutro wam wszystko wydrą, co dzisiaj nadadzą.
 Marnym dźwiękiem obietnic, zwodzą was i łudzą,
 Jakby swoją własnością, rozrządzają cudzą,
 Bo tu wszystko Cesarza. — Gdy lud wytrwa w wierze,
 Dar pańszczyzny i własność z rąk rządu odbierze
 A co w nagrodzie wiary od nas mieć będziecie,
 Tego już wam nie wydrze żadna władza w świecie.
 Mówcie, czy was ułuda ich obietnic zmami,
 Powiedzcie, czy być chcecie z niemi, czyli z nami.

(Kilku Włościan.)

My z panem komisarzem. —

BRUZDA

Dam się im we znaki.

WOLFGANG.

Mogłyby ich na miazgę zgnieść nasze wojaki, 80
 Lecz niech lud znajdzie pole, dobrze się zasłużyć
 Wolim wierności waszój przeciwko im użyć;
 Słuchajcież więc rozkazu. — Tak jutro — o świecie
 Tam gdzie wam nakazali — wszyscy się stawicie.
 Uzbroicie się w pałki — kosy — i topory.
 Najprzód z niemi przyjaźni udawać pozory,
 Potém się rzucić na nich — i wszystkich bez względu
 Więzić, wiązać, krępować — stawiać do urzędu.

WOJT.

Wszystko spełniemy, jak nam rozkaz zapowiada.

WOLFGANG.

ednego tylko wolno, puście Konrada,
 a mi jeszcze potrzebny — lecz śledzić go skrycie,
 óźnij go — gdy rozkażę przedemną stawicie. —

WOJT.

to spełnim. —

WOLFGANG.

Tu jutro na zamku wesele. —
 Najpierwszych buntowników, zbierze się tam wiele,
 Wszystkich ich schwycić trzeba. — Ja sam was powiodę,
 sam bogato. — Za pracę będziem mieć nagrodę,
 Teraz już wszystko wiecie — nie rzedz ani słowa,
 eżli kto zdradzi — kara dotknie go surowa.
 Regnam już was — do jutra. —

(Włóścianie klaniają się i wychodzą.)

Jutro spełnim dzieło!

Niech się piekielnie skończy — tak jak się zaczęło
 lżmy naprzód, litością nie wstrzymani żadną
 i co zgubić nas chcieli — niech sami przepadną.

(wychodzi)

Scena IV.

Pokój w zamku Hrabiego.

Helena z bukietem kwiatów w ręku, wychodzi trzymając za rękę
 Władysława.

HELENA.

Zawsze mi droga pamięć twych urodzin święta
 Jak je dawniej święciłam, twe serce pamięta.

To rwałam dla cię kwiaty, z najwonnejszych krzewów
 To ci nuciłam jeden, z miłych tobie śpiewów,
 I ten dzień obchodziłam, łącząc dłoń z twą dłonią
 Tak dźwiękiem tkliwej pieśni, jak i kwiatów wonią,
 Dziś gdy to święto wraca — wspomnij zbiegłe lata
 Dozwól mi ten dzień uczcić, który dał mi brata.

WŁADYSŁAW.

O zmieniły się czasy. — Taka wola nieba!
 Już tobie tego brata do szczęścia nie trzeba.
 Już się przed tobą przyszłość rozwarła świetniejsza,
 A choć ona przyjaźni twój dla mnie nie zmniejsza,
 Niech mi tych chwil szczęśliwych wspomnienie się nie śni
 Nie ma już dla mnie kwiatów, nie ma dla mnie pieśni

HELENA.

Znajdziesz ją zawsze u mnie, lecz błagam mój drogi —
 Pozbądź się chmury smutku, nie wnoś jój w te progi
 Tyleś proźb mych wysłuchał, niech jeszcze ta jedna
 Miłe sobie u ciebie przyjęcie wyjedna.
 Nie zaciemniaj pogody, tych szczęśliwych godzin
 Ani w dzień moich ślubów, ni w dzień twych urodzin

WŁADYSŁAW.

Spełnię to czego żądasz Heleno odemnie,
 Blasku twych ślubów, czołem mojem nie zaciemnie
 Tak, nie będę ich świadkiem.

HELENA.

A więc trwasz w zamiarze
 Nie chcesz mi towarzyszyć przed Pańskie ołtarze.
 Może zbyt trudnej żądam po tobie ofiary,
 Lecz w poświęceniu nie znasz ni granic ni miary.

O twą obecność będziem błagać cię oboje;
 Nią życzliwe objawisz ku nam chęci twoje.
 W szczęście tych ślubów, wiarą nie będziem przejęci,
 Aż je błogosławieństwo braterskie uświęci. —

WŁADYSŁAW.

Przymusu już nie jedną mękę zniosłem srogą,
 Nie żądaj czego siły, człowiecze nie zmogą.
 Jam otchłań mojej duszy zawarł silną dłońią,
 Tajnie się jój, przed światem nigdy nie odsłonią,
 Nikt nie dojrzy, ile się w przepaści téj mieści
 Smutku — zgryzot — rozpaczy — żalu — i boleści
 Gdy czucia pełne jadu, w głąb duszy zanurze,
 Nie wzruszaj ich, by nagle nie wybuchły w burze 110
 W żalu i w wstręcie moim, jużem się przełamał
 Lecz nie wymagaj po mnie, abym radość kłamał.

HELENA.

Ty nie wiesz, jaką myślą, ma prózba natchniona
 Niech się Henryk o twoich uczuciach przekona,
 I niechaj się nikt z obcych twierdzić nie ośmieli
 Że was braci od jutra jakaś niechęć dzieli. —

WŁADYSŁAW.

Choćbym dla ciebie, na tę zdobył się ofiarę
 I był świadkiem, jak jemu poprzysiężesz wiarę,
 Jutro z wami Heleno! pozostać nie mogę,
 Woła mnie ważna sprawa, dziś się puszczam w drogę.

HELENA.

Jaka sprawa?

WŁADYSŁAW.

Nie pytaj. —

HELENA.

Tajemnica nowa

Cóż cię zmusza wyjechać

WŁADYSŁAW.

Świętość mego słowa.

HELENA.

Zostań proszę. —

WŁADYSŁAW.

Nie mogę.

HELENA.

Żza cię moja błaga

WŁADYSŁAW.

I łzie twojej się oprzeć, wesprze mnie odwaga.

(wchodzi Hrabia — Hrabina.)

HRABIA.

Czyż prawdziwą mnie synu, zasmucono wieścią,
 Że chcesz nam święto twoje, zakrwawić boleścią,
 Że dzisiaj nawet dom nasz, zamiar masz porzucić
 I jutrzejsze wesele wyjazdem zasmucić.

WŁADYSŁAW.

Tak ojcze! dzisiaj jadę.

HRABIA.

Nie, to być nie może,

Na dzień, dwa, odłóż wyjazd — błagam.

WŁADYSŁAW.

Nie odłóże. —

HRABIA.

I cóż cię, do podróży tak nagłej pobudza.

W dzień tyle drogi dla nas.

WŁADYSŁAW.

Ważna sprawa cudza. 120

HRABIA.

Nie zwódź mnie — inny twego wyjazdu jest powód,
Lecz bądź mężem i mężstwa twojego złóż dowód,
Na miłość cię synowską zaklinam ze łzami
Władysławie! mój synu — zostań — zostań z nami.

WŁADYSŁAW.

Usłuchać głosu serca, dane słowo wzbrania,
Muszę jechać — już przyszła chwila pożegnania
Żegnam was.

HRABIA.

Taki upór, obraża i boli. —

HRABINA.

I kiedyż do nas wrócisz? —

WŁADYSŁAW.

Kiedy Bóg pozwoli. —

HRABIA.

Mów, co téj odpowiedzi tajemniczość znaczy,
Czyżbyś osłabł — i uległ nie mężkiej rozpaczy.
Żaden cię względ nie skłoni, do zamiaru zmiany.

WŁADYSŁAW.

Nie najdrożsi — wyjeżdżam — bom słowem związany
W miłości syna — zawsze oboje was mieszczę,
A i ją jak kochałem, tak dziś Kocham jeszcze; —
Serce moje wyleję, w chwili pożegnania. —
Niech tu Bóg was opieką najświętszą osłania
Niech was broni od trwogi — i wszelkiej przygody
Jasném słońcem jutrzejsze rozweseli gody.

Twoje Heleno! wszystkie uisci nadzieje,
 Potok błogosławieństwa — na twą głowę zleje, 130
 Modlitwa moja, wszystkich dla ciebie łask wzywa
 Nieszczęściem mojem nawet — bądź zawsze szczęśliwa.

(odchodzi.)

HRABIA.

Władysławie! — już wyszedł — lecz z jakim zamiarem
 Słowa jego mi ciężą, ołowiu ciężarem.
 Jaka w nich tajemnica — w domysłach się gubie.

HRABINA.

Więc nie będzie obecnym na Heleny ślubie
 Nie chcieliśmy, Konrada twierdzeniem zdziwieni,
 Wierzyć że on zamiaru swojego nie zmieni,
 A godna jest uwagi, Konrada przestroga
 Że książę ma w nim widzieć zaciętego wroga.
 Ta nienawiść mnie dreszczem przestrachu przenika
 Boję się Władysława — lękam o Henryka. —

HRABIA.

Jeżeli się on przemocy rozpaczy dał znękać. —
 Nie jego, lecz o niego trzeba nam się lękać.
 Idźmy — może go jeszcze tu w zamku zastaniem
 I może go wstrzymamy wznowionem błaganiem.

(wszyscy wychodzą)

Scena V.

Pokój Władysława w zamku.

Władysław sam.

WŁADYSEAW.

Jutro więc będzie Jego. — Ja przy takim świecie
 W szalonych się przedsięwzięć, utopię odmęcie. —
 Widzę przed sobą, paszczę otwartą otchłani
 Nie cofnę się — wszyscyśmy słowem skrępowani. 140
 Czasem pytam, słuchając sumienia przestrogi,
 Czy iść dalej — czy cofnąć kroku wpośród drogi.
 Pytam się — czyli szal ten — czy ten czyn rozpaczy,
 Szlachetnością się celu, światu wytłomaczy.
 Może tym czynem spełnię dwojaki mord krwawy
 Zabójstwo moje własne — i morderstwo sprawy.
 Jak często człowiek, kiedy wola w nim zmartwiała
 Wbrew swojego sumiania, jak nikczemnik działa.
 Pozór — przesąd — wstyd — próżność, tak nas często mami
 Ze swego przekonania, stajem się zdrajcami.
 I że człowiek własnego pozbywszy sumienia
 Na światowych przesądów, obłudę je zamienia.
 I ciało tylko nasze — zostaje popchniętem
 Tam kędy stanąć, duch nasz wzdryga się ze wstrętem.
 O jak rzadko się znajdzie — człowiek z tą odwagą,
 Coby obnażył duszę — okazał ją nagą,
 I wyrwawszy się z względów światowych niewoli,
 Działał podług sumienia czynem dzielnej woli.
 Kto chce mężnie, wytrwale, ten jest tylko mężem. —
 Jedynie silna wola, jest dzielnym orężem. — 150

Cóż tu mnie pcha w tój sprawie — o to słowo dane.
 Nie — nie złamię przysięgi. — Zdrajcą się nie stanę.
 Pójdę z niemi, w tём szczęście znajdując jedyne,
 Że w dniu, w którym ją tracę — może i sam zginę,
 Idźmy więc — iść nie mogę — niepojęta siła
 Do tych mnie miejsc tak drogich przykuła — przybiła

Scena VI.

Władysław — Henryk — Gustaw, potem Konrad

KSIĄŻE HENRYK

(niosąc piękny samopał starożytny.)

Dziś gdy twoja rodzina, tve święto obchodzi
 Połączyć z ich życzeniem, niech się moje godzi.
 Szedł tu Hrabia, chcąc znowu błagalnym wyrazem,
 Zakląć cię — byś tu z nami, chciał pozostać razem.
 Jam prosił, aby mnie to staranie powierzył
 Zwleczyć wyjazd, któryś z naszą boleścią zamierzył,
 Niech twa obecność, święto jutrzejsze uświęci,
 I niech będzie dowodem, twych życzliwych chęci; —
 Mam jeszcze jedną prozbę --- nie odrzuć z méj dłoni
 Tój pamiątki przyjaźni — starożytnéj broni.
 Niech ona, zbiór twój drogi, w zbrojowni zbogaci,
 I przyjaźni zadatkiem, przyszłych będzie braci.
 A gdy tój dawnéj broni — opowiem ci dzieje,
 Wartość jéj w twoich oczach, pewnie nie zmaleje. 160
 Wasyl Korybut, zdobył ją kiedyś na Wschodzie,
 I odtąd pozostała, w Korybutów rodzie.
 Gdy się ród nasz, na cztery dzielnice rozpadał,
 Los ją razem z Zbarażem, Semonowi nadał.

Ta broń, która jest z wypraw tureckich zdobyczą
Złączy się z przepowiednią, dziwną tajemniczą.

(Gdy to mówi Książę — wchodzi Konrad, wstrzymuje się, słucha
potem się zbliża.)

Że ostatni potomek, w Zbarazkiej rodzinie
Zabójczym strzałem, z tego samopału zginie,
Ogłosił Semenowi, wsławiony wróżbita;
Broń ta w skarbcu zbaraskim, była téż ukryta.
Jam jój jednak doświadczył, prócz innéj zalety,
Ma i tę, że najdalszej strzałem sięga mety. —
Wiesz żem książąt Zbarazkich, potomek ostatni
Proszę więc, abyś w dniu tym przyjął ten dar bratni,
Straży twojej przyjaźni, zdaję tę broń zgubną.

WŁADYSŁAW.

Dar przyjmuję — a ufność mam sobie za chlubną.
Może mi przecież kiedyś, ta strzelba posłużyć,
I wkrótce jak należy, potrafię jój użyć. —
Lecz boleję, że twego pierwszego żądania,
Nie mogę spełnić. —

HENRYK

Cóż ci, pozostać tu wzbrania

WŁADRŚLAW.

Ważna sprawa.

Ks. HENRYK.

Odlóż ją.

WŁADYSŁAW.

Nie — nie mogę książę. —
Pojmiesz mnie, gdy się dowiesz, że mnie słowo wiąże.

GUSTAW.

Konradzie! Tyś z nim spojón przyjaźni ogniwem
Połącz się z nami w próźbie — wesprzyj nas twym wpływem.

KONRAD.

Jakież masz do wyjazdu przeważne powody,
I jak możesz opuszcząć siostry ślubne gody.

WŁADYSŁAW.

(do Henryka.)

Muszę jechać — za chęci uprzejme przyjm dzięki

HENRYK.

Nie śmiem nalegać — żegnam uściśnieniem ręki.

(Książę ściska dłoń Władysława — i wychodzi z Gustawem.)

KONRAD.

Dobrze — jak przyjaciele złączyliście dłonie,
A zobaczym, na której będzie jutro stronie,
Bo jutro dziewiętnasty — czas się próżno traci.
Jam gotów — i dziś jeszcze pospieszę do braci. —

WŁADYSŁAW.

Ja zaraz wrócę — pójdę w zamkowej kaplicy,
Jednym westchnieniem westchnąć do Bogarodzicy.
Bóg, serce co n u ufa, pokrzepia, nagradza
Niech mnie siłą — modlitwy ubierzmuje władza.

KONRAD.

To zababon szlachecki — dusza w tobie słaba
Ja twójego siwego dosiędę Araba,
Czekać cię nad Dunajcem będę u przewozu,
Z tamtąd razem do naszych pospieszym obozu.

WŁADYSŁAW.

Dobrze — wkrótce się stawię.

(wychodzi.)

KONRAD.

Módl się — ślubuj śluby.

Z tak szalonym zapałem, blizkim jesteś zguby.
Coś mi zimno — dreszcz przejął — wyje zawierucha
Zła będzie podróż — czuję w sobie mdlenie ducha.
Zaczyna się chwiać we mnie, wiara w naszą sprawę.
Gdzież to mnie doprowadzą — te zamachy krwawe?
Zimno. —

(przechadzając się spostrzega burkę Władysława leżącą,
bierze ją na siebie.)

Burka Hrabiego, od zimna ochroni

(idąc dalej przypatruje się samopałowi.)

Wartoby téj zbarazkiej popróbować broni. —
Wszak wroźba z nią złączona; wszakże jój potęga,
Jak najdalszego celu, jój strzałem dosięga.
Dosiędę jego konia — na czynu godzinę,
Uzbroję się w tę strzelbę — w płaszcz jego obwinę.
Wcale to nie zaszkodzi — że może na chwile,
Widzów — udaną jego postacią omylę.
Jednak zadrzałem — jakby ten czyn był zbrodniczy.
Czy kto zawołał, krzyknął — nie to wicher ryczy,
Dzikie głosy udając, jak przekleństwo wyje,
Śnieg sypiąc, w okna, zamku, tak gwałtownie bije.

(patrzy przez okno.)

W dziwne kształty w powietrzu wije się i kłabi,
I mrok nocy zapada — a strach kości ziębi. —
Nie — po co się poddawać widocznej uludzie,
Nie możemy polegać na tym ciemnym ludzie;
Gdym dziś z chłopami moim rozmawiał zwyczajem
Dziwnym wzrokiem po sobie spozierali wzajem.

Jest coś skrytego — lękam się Wolfganga zdrady,
 I może jest bezpieczniej słuchać jego rady. —
 Na około uwagę trzeba zwrócić baczną —
 Nie będę z powstańcami — niechaj sami zaczną.
 A jeśli się powiedzie — i chłopci nie zdradzą?
 Wtenczas tylko wystąpię z dyktatorską władzą.
 Byłoby to szaleństwem, dla nikczemnej chluby
 Jak bez zmysłów — na oślepie, lecić w przepaść zguby.
 O łatwo jest gmin w zemsty rozhucać zapędzie,
 Lecz jak potem skierować to podle narzędzie?
 Tak na szlachtę powiodę — tłum wiejski wzburzony,
 Potem się do Wolfganga ucieknę obrony.
 Rozum radzi — wstrzymać się w niebezpiecznej drodze
 Lecz mojej nienawiści przynajmniej dogodze;
 A jutro mości książę — dumny panie młody
 Miłe śluby zawierasz — przerwę ci te gody. 200
 Pierwej się moje żądze zemsty zaspokoją,
 Na jedną nawet chwilę nie nazwiesz jój twoją. 201
 (wychodzi obwinięty w burkę Władysława, i uzbrojony samopalem.)

KONIEC AKTU III.

AKT IV.

Scena I.

Teatr wystawia salę balową w zamku Hrabiego, oświetloną rżęsisto. — Liberya przechodzi i roznosi to wazony z kwiatami — to zapalone świeczniki, to tace z bukietami — muzyka w oddaleniu na ganku, gra wesołe tańce. —

Hrabia przechodzi się po sali — książę Henryk — Gustaw — Kazimierz. — Przyjaciele i sąsiedzi rozmawiają z sobą.

HRABIA.

Oświecajcie komnaty — przygotujcie czary
Z sklepów podziemnych lejcie, przodków tokaj stary,
Przynoście kwiaty — dźwięki niech zabrzmiają radosne,
Sprowadźcie w mój dom światło — harmonią i wiesną,
W dzień, który szczęście mego dziecięcia zaczyna,
I w którym cię Henryku powitam jak syna.
Czy już światłem godowém goreje kaplica? —
Wdzięcznym każdemu, który dziś mój dom zaszczyca.
Niech tu gości wesołość. —

KAZIMIERZ.

Będziemy weseli
Czemuz Władysław z nami radości nie dzieli.

HRABIA.

Nie wspominaj mi o nim, rana to głęboka
Chciałbym ją w głębi ukryć, dla każdego oka.

HENRYK.

Opóźniają się goście — księżyc dziś nie świeci,
Drogę muszą utrudniać śniegowe zamieci. —

HRABIA.

Wichry téj zawieruchy, co tak dziko ryczą,
Przyszłości waszój nie są wróżbą tajemniczą.

SŁUŻĄCY.

Hrabia Gastold wraz z bratem. —

HRABIA.

Wszystkich tutaj proście.

(Muzyka gra, wchodzi Gastold z bratem, witają się z Hrabią.)

HRABIA.

Witajcie zawsze mili — dziś najmiłsi goście,

GASTOLD.

Przebacz Hrabio! spóźnieniu — nie wiem co to znaczy,
Że jakby mrowie, lud się poruszył wieśniaczy 10

Kupią się po wsiach chłopi i jacyś zuchwali
Tutaj w poblizkiej wiosce w jeździe nas wstrzymali.
Z groźbą jakąś wystąpił ten co był na czele.

HENRYK.

Musieli być podpici. —

HRABIA.

To pewnie wesele.

GASTOLD.

Wątpię — bośmy wśród całej uważali drogi
Snujący się, po ścieżkach kupami lud mnogi.

HRABIA.

Powtarzam to wesele — bo w ten dzień radości
 Córka moja dwanaście par z pobliskich włości,
 Uposaża. — Mażeńskie ich węzły kojarzy,
 Sama je tu powiedzie do ślubnych ołtarzy
 Dwanaście wesel dzisiaj w zamku tutaj zbierze
 Sutą dla nich godową wyprawia wieczerze

GUSTAW

(do Henryka.)

To może dzieło spisku — szaleńców powstanie
 Pociągnięci do buntu, wybuchli włościanie.

(wchodzi Witold.)

Otóż Witold — on do nas przybywa z daleka.
 Patrz — bladość przerażenia, twarz jego powleka.

WITOLD.

Przybywam do was, z sercem rozdartém z boleści,
 Dźwięki straszliwie brzmiących przynoszę wam wieści
 Roztrzaskam szczęście wasze z gwałtownością gromu
 Chmurę z piorunem wnoszę do waszego domu; 30
 Lud powstał — pchnięty jakąś niewidzialną ręką,
 Pastwi się, jakby dziki zwierz krwawą paszczką.
 Rozlały się po kraju rozhukane hordy
 Ni sąc do pańskich domów rabunek i mordy,
 Już liczne ich wściekłości poległy ofiary. —
 Najokrutniejszą śmiercią zginął Bogusz stary.
 Pastwili się nad starcem, ci zbójcy rozjadli
 I wnuk — i dwaj synowie, obok ojca padli. —
 Płynie krew szlachty polskiej — mówiono mi w drodze
 Że Rej poległ w Dębicy, katowany srodze.
 I inni legli. —

HRABIA.

Bożel lituj się nad nami! —

HENRYK.

Gdzie Konrad? —

GUSTAW.

Znikł od wczoraj.

HENRYK.

On tam jest z zbójcami. —

I tu nie długo będzie — ku wspólnej obronie,

Daléj bracia, w oręż, uzbrojemy dłonie. —

Znoście tutaj broń wszelką, strzelby i pałasze —

Gdy chcą, drogo sprzedamy im szlachectwo nasze.

KAZIMIERZ.

Z motłochem rozhukanym, walka jest daremną,

HENRYK.

Ja sam kroku nie cofnę — kto chce będzie ze mną.

GUSTAW

Tak pewnie — Konrad tłumy prowadzi siepaczy.

HENRYK.

I druga nieobecność, może się tłumaczy.

HRABIA.

Władysława? To syn mój?

HENRYK.

Obrażą nie będzie

Słowo które wyrzekłem, w uniesienia błędzie.

(Książę rozmawia po cichu z Hrabią. inni przytomni naradzają się —
tymczasem muzyka gra wesołego tańca, dają jej znak żeby się
uciszyła)

(Zygmunt wchodzi.)

ZYGMUNT

Po zgrozie waszych twarzy, widzę że już wiecie
 Jaka burza straszliwa, zawyła na świecie —
 Tak, rzezi bratobójczej, myśl wybuchła z piekła,
 Dusza ludu zdziczała i w szale się wściekła,
 Przeklęstwo temu, komu dzieje udowodnią,
 Ze chciał celu osiągnąć, tak okropną zbrodnią,
 Spiskowi w przedsięwzięciu, wytrwawszy zuchwale
 Wczoraj oręż powstańczy, wydobyli w szale
 Głosząc zbawienie kraju, sprawę narodową,
 Chcieli i lud pociągnąć, pochlebną namową,
 Łudząc się, że go swoim rozgonią przykładem
 Na Tarnów, mieli nagłym uderzyć napadem;
 Lecz lud nieufny, wszystkie namowy odrzucił
 Gorejąc żądzą niecną, przeciw nim się zwrócił,
 Uwięził ich — i jeszcze hamowny w zapędzie
 Stawił ich uwiezionych, w Tarnowskim urzędzie
 Nagrodą zachęcony — chciwy pomsty, łupów
 Wprzód żywych — wkrótce samych dostarczał mu trupów⁴⁰
 Na kraj wylał się wściekły, jak fale powodzi
 I już w krwi szlachty polskiej, nurza się i brodzi
 Wdzięczność i litość — jego nie wstrzyma zapędów
 Dziś tylko słucha, własnych włościąńskich urzędów
 Kotarski, dobroczyńca, ojciec swoich włości
 Padł w męczarniach ofiarą, swych włościąń wściekłości
 Nie powiem, ile zbrodni spełnili morderce,
 Bobym z boleści, każde roztrzaskał tu serce
 Rząd zaś, wybuchu świadek, ślepy, niemy, głuchy
 Skamieniawszy, do zbrodni, dodaje otuchy.

HENRYK.

Ach — w pośród krwi powodzi każdy zagorzalec,
 Niech widzi karę szalu — widzi boski palec
 To narzędzie, którego użyć chciał szalenie,
 Zwraca się przeciw niemu, na jego szańbienie. —
 Ale nie traćmy czasu — woła święta sprawa
 Idźmy — idźmy na zbójców. —

HRABIA.

Drzę o Władysława,
 Jeżeli spisek głosił, narodowe cele,
 Wciągnęli go do niego, zradni przyjaciele. —

(Otwierają się drzwi od sali — wchodzi Hrabina trzymając za rękę Helenę, w godowe szaty i w ślubny wieniec przybraną — towarzyszy im kilka pań i dziewic strojnie ubranych — i Tekla — Na ich wejście muzyka gra świetnego marsza, znowu jój znak dają aby umilkła. — Głębokie milczenie i przerażenie. — Helena wznosi oczy, patrzy na ojca — na Henryka, a widząc ich pomieszanie, nagle biegnie i rzuca się ojcu do nóg).

HELENA.

Co to się stało ojeze! ten smutek, ta trwoga,
 Jakie nieszczęście — mówcie zaklinam na Boga.

HRABINA.

Nie bój się, drogie dziecko. —

HENRYK

zbliżając się do Heleny.

Ja przy tobie stoję.
 Nie zadrzę — i ocalę was — i szczęście moje.

HELENA.

Cóż się to dzieje?

HRABINA.

Mówcie

HRABIA.

Niech was zbyt nie strwożę
 Mieście zaklinam ufność w miłosierdzie Boże.
 Poruszył się lud wiejski, kupią się gromady,
 I już na pańskie dwory, gotują napady
 (wbiega Służący.)

SŁUŻĄCY.

Panie szukaj schronienia — porzuć zamku ściany
 Obległ blizką gospodę, motłoch rozhukany.
 Coraz tu wzbiera, w kosy, w widły zbrojna zgraja,
 Zagrzewa się do walki, i trunkiem upaja. —
 Już nawet aż pod ogród, dotarły jój czaty
 Ach uciekajcie państwo, i bez czasu straty.

HENRYK.

Nie — zostańcie. — My bracia, do broni, do broni
 Nasz oręż ich rozsieka — a pierś was osłoni.

GUSTAW

(do Heleny.)

Niech was niebezpieczeństwo nie zastrasza żadne

HENRYK.

Ocale cię Heleno! — albo waleząc padnę.

HELENA.

Co wyrzekłeś? —

(Słychać hałas. — Ktoś usiłuje przebić się — Sługa nie puszcza —
 Przerwanie. Wanczar przedzierając się.)

WANCZAR.

Puście mnie — ja nie żaden zbójca
 Nie wstrzymujcie — puszczajcie do pana, do ojca.

HELENA

To głos Wanczara — Tekło powiedz niech go puszcza
(Wanczar wbiega, i chyląc się do nóg Hrabiego.)

WANCZAR.

Paniel schrońcie się błagam, przed rozjadłą tłuszcza
Już pędzi ku zamkowi — chwili nie chciój stracić
Ja tu biegnę, wdzięczności mojej dług wypłacić
Jedno jeszcze to wyjście, boczne wolne macie,
Bezpieczeństwo — przytułek znajdziecie w mej chacie.
Nieszczęśliwy lud zwiedli — bezecni zbrodniarze,
I pchnęli go do zbrodni — Pan Bóg ich ukarze,
Ostygnie wkrótce w ludzie, ta zemsta zawzięta.
Kiedyś on pożałuje, sam się upamięta
Lecz teraz uciekajcie. —

HRABINA.

On wart zaufania.

Prowadź nas — twa opieka niechaj nas zasłania.

HENRYK.

Ocal wszystkich — wdzięczności otrzymasz dowody
Licz na nie. —

WANCZAR.

Tak ocale — lecz nie dla nagrody.

HRABIA.

Idźmy więc — idźmy wszyscy.

HELENA.

Ty z nami Henryku!

HENRYK.

Nie droga — z przyjaciółmi stanę tu do szyku.

(Służący wnoszą broń rozmaita — rozbierają ją między sobą
mężczyźni.)

Jak ogniem męztwa, dusza nie ma się zapalić
Gdy mam godność szlachectwa — i ciebie ocalić.

HELENA.

A więc ja z tobą będę — i nie cofnę kroku
Gdzie będziesz drogi walczył — będę przy twym boku.

HENRYK.

Nie ty pójdziesz za ojcem. —

HRABIA.

Drogie! lube dziecko

Chcesz nas opuścić, samych zostawić na świecie.

Więc ja z tobą zostanę. —

WANCZAR.

Pani ukochana

Nie gub wszystkich tą zwłoką — błagam gnąc kolana
Idź z nami

(pada na kolana.)

(Słychać w oddaleniu krzyki)

HRABINA.

Co za hałas — cicho — czy słyszycie

To oni po nas idą, to ich słychać wycie. —

HELENA

(do Wanczara na stronie.)

Przysięgnij, że gdy zechcę, w każdej chwili, wszędzie
Poprowadzisz me kroki, gdzie on walczyć będzie.

WANCZAR.

Przysięgam.

HELENA

(głośno.)

Idźmy.

HENRYK.

W Bogu! ufność cię ożywi
Wróćę — wróćę do ciebie — i będziem szczęśliwi. —

HELENA.

(podając księciu rękę.)

Żegnam cię — żegnam drogi!

HENRYK.

Żegnam mój aniele.

HELENA

(wychodząc.)

Boże! także to nasze gody — i wesele. —

(wychodzą prowadzeni przez Wanczara — Hrabia — Hrabina —
Helena — Panie — Tekla — Mężczyzni uzbrojeni zostają.)

HENRYK.

Teraz dalej na zbójców — zapalcie pochodnie
Niech ujrzą, że od przodków, walczym nieodrodnie,
Tak szlachta polska, w bytu ostatniej godzinie,
Jeżli ma zginąć — niechaj z szablą w ręku zginie.

(wychodzą wszyscy — krzyki za sceną wzmagają się.)

Scena II.

Teatr wyobraża jedną część ogrodu, — opodal widac zamek
Hrabiego — ciemność nocna. —

Wchodzą uzbrojeni kosami — cepami — i pałkami Bruzda —
Sarna — i inni Włościanie.

BRUZDA.

Patrz no — już w zamku ciemno, już światło zagasło
Teraz pora, dadź naszym do napadu hasło.

Czy śpią wszyscy, — czy może z zamku nam umknęli

SARNA.

Po ciemku popracować, będziem bardziej śmieli

BRUZDA.

Czy tam już po weselu. —

SARNA.

Nie słyhać muzyki.

Co za hałas? —

BRUZDA.

To naszój gromady są krzyki

Pędzi tu jak na odpust, lub na targ do miasta.

SARNA.

Ej dostać się do zamku, chęć we mnie podраста

Jakie tam są bogactwa, sprzęty i odzienie!

BRUZDA.

Kto wie — może ja teraz z panną się ożenie,

Ale nie traćmy czasu, i odbądźmy strażę

Pod same mury zamku, podleść się odważe.

(wychodzą — nadbiega tłum włościan uzbrojonych między nimi

Wojt Nałęczowski. — Wolfgang przebrany po chłopsku i Sekretarz

jego także przebrany.

WOJT.

Tutaj się trzeba zebrać, tu się zatrzymamy

Tą drogą się dostaniem, do zamkowej bramy.

WOLFGANG.

Tam od gościńca, druga napadnie gromada

WOJT.

Ona tam prędzej doszła, może już napada,

WOLFGANG.

Nie, oni poczekają, aż się hasło wyda,

WOJT.

Kogo mają na czele? —

WOLFGANG.

Z tamtej karczmy Żyda,
Ciemno w zamku — czyż są już pogrążeni we śnie
Jak na ucztę weselną, poszli spać zawczasie
Może téż, kto ich ostrzegł? —

WOJT.

Gdyśmy szli na przodzie.
Nadto hałasowała dziatwa, przy gospodarze.

WOLFGANG.

Więc może kto uprzedził może jaka zdrada?

WOJT.

Tego u nas nie będzie

WOLFGANG

(do Sekretarza.)

Czyś widział Konrada?

SEKRETARZ.

Widziałem go, nie dawno jak na siwym koniu
Tamtą drugą gromadę, prowadził po błoniu.

(wbiega Sarna i Bruzda.)

SARNA.

Tam jakiś ruch, jest w zamku, jakieś światła błysły
Kto to wie, czy się nasze udadzą zamysły.

BRUZDA.

Ich tam tylko jest garstka, a nas przecież wiele

WOLFGANG.

Niczego się nie bójcie — ja na waszém czele
Tylko śmiało, i dziarsko, dalej hurmem dzieci.

(cała zgraja z hałasem naprzód biegnie, i znika za sceną. —
Nadchodzi młody parobek i gospodarz i ze wzgórką przypatrują się.)

GOSPODARZ.

Coś tam się miga w cieniu, jakieś światło świeci.

(słychać strzały.)

PAROBEK.

Strzelają więc się biją, a więc byli z bronią,
Dobrze żeśmy nie poszli. — Ci mkną, tamci gonią,
Patrzcie no tutaj pędzą — coraz bliższe krzyki
Uciekajmy. —

(Włościanie uciekają, wbiega Urlopnik i Komornik.)

KOMORNIK.

O zbójcy! zdrajcy — rozbójniki,
Mieli nabite strzelby — krucice — i miecze.

URLOPNIK.

A każdy, tego macha, i jak wściekły siecze.

KOMORNIK.

Patrz — już czekali na nas — ktoś popełnił zdradę
Bo i drugą z gościńca, odparli gromadę.

(nadbiegają uciekający włościanie — wraz z niemi wchodzi Urlopnik
i Komornik — ukazują się Wolfgang i Sekretarz.)

WOLFGANG.

Patrz — co za popłoch, a to tchórzów lud obrzydły
Pierzchają — pociskali i kosy i widły.

A co było pogrózek, krzyku i hałasu. —

Urlopniki się bronią — my bez straty czasu.

Wymknijmy się z tej zgrai — pod nocy osłoną,

Wróćmy do domu — zrzuciem odzież pożyczoną,

Jako słudzy rządowi — wystąpmy w mundurze,

A nikt nas nie posądzi — a przekłete tchórze!

Lecz chociaż się, w tój pierwszej zawiodłem rachubie,
Dokażę com zamierzył, i wszystkich wygubie.

(strzały — wychodzi Wofgang i Sekretarz — popłoch nowy
uciekają włościanie.)

(wchodzi książę Henryk i jego towarzysze uzbrojeni, jedni słudzy
niosą pochodnie, drudzy z bronią w ręku.

HENRYK.

Nikczemnicy, dotrzymać nam nie śmieli kroku,
Jak mgła się rozplynęli, wśród nocnego mroku,
Śiekliśmy ich, lecz drogo, zwycięstwo się płaci,
Jednak to jest okropnie, wylewać krew braci,
I od wszystkich męczarni, straszniejszą jest męką,
Gdy nasze własne ciało, krajem własną ręką.

(wchodzi Gustaw dzień, zaczyna.)

GUSTAW.

I drugi napad, także zwycięzko odparty
Już w koło zamku, czujne rozstawiłem warty.

HENRYK.

Czemuż gdy przy mnie, walczą przyjaciele moi,
Przy naszej sprawie, jeden Władysław nie stoi
Niebytność jego w zamku, smutny domysł budzi

GUSTAW.

Nie śmiem ręczyć — lecz jeden ze zamkowych ludzi,
Twierdzi, że wpośród nocy, w tłumie na ustroniu
Poznał go i po burce i po siwym koniu. —

HENRYK.

Byłże by on tam z niemi — Czyż się sen mój ziści?
Tak by się on zapomniał, w swój dla mnie zawiści,
Wśród snu, wczorajszej nocy w marzeniu ujrzałem
Jak on śmiertelnym, w moję pierś ugodził strzałem.

(wbiega Kazimierz)

KAZIMIERZ.

Znowu się kupią tłumy, i może za chwile
 Na zamek się, w znaczniejszej jeszcze rzuca sile
 Spieszmy ten tłum rozproszyć, nim sam na nas natrze

GUSTAW.

Ja biegnę w drugą stronę, i wszystko opatrę,
 (wszyscy wychodzą, obejrzawszy broń.)

Scena III.

Ukazuje się na wzgórku Konrad z samopatem zbaraskim
 w ręku.

KONRAD.

Wszyscy już tam pobiegli — tam znów motłoch wyje
 Ukryłem w krzakach konia, i sam się ukryje,
 A więc mnie, wszystkie moje nadzieje zawiodły,
 Jak zbojecki nikczemnik, pierzchnął ten lud podły.
 Nic mi się nie udaje — wstyd płonie na twarzy,
 A tutaj ogień zemsty, coraz mocniej parzy. —
 Sam się więc z piekłem pomszczę, bez ludzkiej pomocy,
 Już dziennemu brzaskowi, ustąpił cień nocy,
 Już rozpoznam przedmioty, bo śnieg ziemię bieli,
 I wzięwszy dobrze na cel, trafnie się wystrzeli. —
 Oni tam nie zabawią — w prędkiej wrócą chwili. —

(patrzac.)

Otóż właśnie wracają, oko mnie nie myli. —
 A więc dalej na konia.

(znika wchodzi Gustaw)

GUSTAW.

Błysnął promień słońca
 Pierwsze niebezpieczeństwo już jest blizkie końca,
 Tam wszystko już spokojne, — motłoch rozproszony
 Wpóśród dnia, lepsze środki obmyślem obrony.
 Trudno wierzyć, lecz, nadto jawne są dowody,
 Że się z tym tłumem zbójców, złączył Hrabia młody.

(strzał słyhać)

Strzał słyhaé — jakiś hałas, może się bój wznowi,

(dobywając palasza.)

Dobrze więc — my do boju, będziemy gotowi.

(księcia Henryka rannego, prowadzi Gastold, Kazimierz inni
 towarzysze idą za nim zasmuceni.)

GUSTAW

(biegnąc do księcia.)

Boże co widzę? rannyś?

KSIĄŻE

(pada pod drzewem.)

Tak rannym śmiertelnie

Ręka to nienawiści, strzeliła tak celnie. —

GUSTAW.

Któż zabójca? —

GASTOLD.

Nie wieny, bo zniknął przed nami,
 Lecz się już pogoń, jego puściła śladami. —

HENRYK

Zawierzcie — niezblągany wróg jest mój morderca
 On prostą drogę znalazł, do mojego serca.

GUSTAW.

Okropna rzeczywistość, może się odsłoni.

(wraca Zygmunt — Witold — Słudzy — Witold niesie burkę
i samopał zbaraski.)

ZYGMENT.

Nie mogliśmy zbrodniarza dosięgnąć w pogoni,
Zniknął nam nagle z oczów — tam wśród skał; —
w manowiec

W szalonym pędzie, biały uniósł go wierzchowiec,
Nie jest to jednak, żaden rozbójnik z motłochu,
Bo tę burkę, i strzelbę porzucił w popłochu. —

(Witold okazuje ją księciu.)

HENRYK

(silnym głosem.)

Władysław mój zabójca!

(mdleje.)

GUSTAW.

Ratujcie już kona

Krew zatamujcie. —

(tamują krew.)

HENRYK

(słabiejącym głosem.)

Straszna wróżba już spełniona,

Ja ostatni Zbaraski. ginę od wystrzału
Z zakłętogo, odwieczną wieszczbą samopału,
Ku szalonej ufności, pchnęło przeznaczenie,
Ach nie wyjawcie, nigdy zabójcy Helenie
Lecz już konam — krew z życiem ubiega obficie.

WITOLD.

Lekarz zaraz przybędzie, i zatrzyma życie,

(ratują go. — Sługa przynosi wodę.)

GUSTAW.

Oto jest woda — pozwól niech cię nią napoje,

HENRYK.

Ożywcza kropla wody, wskresza siły moje,
Jeszcze was widzę bracia — drodzy towarzysze,
Poznaję wasze twarze — wasze łkania słyszę.

(podnosząc się.)

W téj chwili zgonu, to mnie pociesza jedynie
Ze ginę — gdy ojczysta sprawa, także ginie. —
Przywołajcie kapłana — póki mówię jeszcze.
Bóg w gasnących, natchnienie czasem wlewa wieszczę.
Słuchajcie — Hańba zdrajcom, co głoszą przed światem,
Ze polskiej szlachcie — polski lud przestał być bratem.
Świat swoich podpalaczy, nędznych wichrzycieli
Pozna, i piorunami przekleństw, do nich strzeli.
Wzgardą i zgrozą, na nich pomszczą się narody,
Ze w burzę zatopili, jasny dzień swobody. 140
Za te ofiary bratnie, całą krew przelaną,
Oni się celem wzgardy — nienawiści staną. —
A lud że w prawej polskiej, nie chciał dotrwać wierze,
Stare ojców ze szlachtą, rozerwał przymierze,
Lud, który stał się, wściekłych chuci ich ofiarą
Długo będzie sieczony, srogą niebios karą
Ziemia po której krew się niewinna dziś leje,
Dawniej żyzna, na długie lata zjałowuje.
Zdriczeje ten lud nędzny — stanie się potworem
Będzie chłostany, głodem, zarazą i morem,
Aż skrucza w niego wstąpi. — A ta silna władza
Która zbrodni, nie karci, lecz jeszcze nagradza,
Pójdzie na pośmiewisko, i motłochu wzgardę,
I w kale gminnym, będzie nurzać czoło harde,

Rozszarpia ją, swawola, bunt, wojny kolejną
 I wszystkie się, żywioly w państwie rozszaleją,
 Będzie przysięgać ludom, i łamać przysięgi —
 Aż zbawienie, u obcej wyżebrze potęgi —
 A choć dawną odzyska — moc i panowanie
 Nie starta krwi na czole, plama pozostanie. 150
 Lecz już duch słabnie — czuję blizkiej śmierci dreszcze.
 (mdleje.)

Scena IV.

Ciż i Helena prowadzona przez Wanczara.

HELENA

(do Wanczara.)

Jakże wiesz, że w téj stronie, znajdziemy ich jeszcze

WANCZAR

Dotrzymałem ci słowa — prowadzę cię pani. —

Oto patrz — pod tém drzewem, wszyscy są zebrani.

Helena spogląda — a spostrzegłszy omdlałego Henryka wydaje krzyk przeraźliwy, biegnie do niego, i pada przy nim na kolana.)

HELENA.

Nie żyje. — On oddycha — żyje? mówcie błagam.

Lekarza — żyje jeszcze — powiedzcie wymagam

GUSTAW.

On ranny — uspokój się

HELENA.

Henryku!

HENRYK

(ocuca się z omdlenia.)

Kto woła? —

Do życia przywołuje, głos mego anioła. —

Ja ranny. —

HELENA.

Kto morderca?

(sposstrzegając leżący samopał i burkę.)

Samopał tu leży

Ta broń zaklęta. — Przebóg! widok téj odzieży

Jakiż domysł narzuca — Władysław! — milczycie

On zabójca. — Nie — nie on — któż mu wydarł życie?

GUSTAW.

On chciał ukryć mordercę — samaś go odgadła

HELENA

Czemuż nie byłam z tobą, i z tobą nie padła.

On zabójcą? —

WITOŁD.

Tak pani. —

HELENA.

Gdzież jest? czy schwycony

GUSTAW.

Na szybkim koniu, szukał w ucieczce obrony.

HELENA.

On zbrodniarz! o nikczemnik — Jam ciebie zabiła

On chciał się na mnie pomścić. —

HENRYK.

Więc śmierć mi jest miła,

O niech mi każdy, losu mojego zazdr. ści,

Nienawiść jego — twojój dowodem miłości.

GUSTAW.

Nie pojmowałem, jaką myśl to słowo kryje
dy rzekł, że on téj broni, jak trzeba użyje.

HENRYK.

Nie wspominaj.

(do Heleny wolno mówi słabiejącym głosem.)

Pójdź bliżej — dłoń z dłonią złączywszy
niech się w ciebie wpatruję, a umrę szczęśliwszy.
Pod tém sklepieniem niebios, tutaj moja droga,
Wiecznym się połączymy ślubem, w obec Boga.
Zawsze z sobą żyć będziem — hamuj się w rozpaczy,
Bóg zbójcom swym przebaczył — niech jemu przebaczy.

(mdleje i przez czas w którym Helena mówi kona.)

HELENA.

Wy mu przebaczasz — ale ja się pomścić zdołam
Na jego głowę, wszystkie przeklęstwa przywołam.

(wpatrując się w Henryka.)

Co nie oddycha?

(głosem przeraźliwym.)

Skonał

GUSTAW.

Ratuj ją o Boże!

(przyciska i on i inni rękę do ust i do serca księcia.)

Już nie żyje.

HELENA.

Nie żyje — nie to byź nie może

On zasnął — ratujcie go. — Czyście skamieniali

Wy tacy obojętni. — Wy go nie kochali.

Lekarza. —

GUSTAW.

Powstań pani — pójdz do ojca ze mną.
 Nie powinnaś, nadzieją łudzić się daremną.
 Już mu życia starania, nie wrócą niczyje,
 Już żyć przestał. —

HELENA.

On żyje — gdy ja jeszcze żyję. —

GUSTAW.

Módl się, niech cię modlitwa, w odwagę uzbroi
 Pomnij że jesteś córką — tam rodzice twoi. —

HELENA.

Zdolnaż będę modlitwy — i modlić się po co?
 Jeżeli nie żyje.

GUSTAW.

Nie bluźń — wiary wznieś się mocą.

HELENA.

Boże przebacz.

GUSTAW.

Niech wiary podeprze ją łaska. —

KAZIMIERZ

Na widok takich nieszczęść, serce się roztrzaska.

HELENA

(kończąc modlitwę.)

O Boże, z Twojej ręki, wszystko człowiek bierze
 Tę boleść moją przyjmij, litośnie w ofierze.
 Daj mi siłę.

(zanosi się od płaczu)

GUSTAW.

Łez nie szczędź — żalu — nie rozpacz

Na łonie twych rodziców, Bóg cię wesprzeć raczy.

(Helena wraca do ciała — klęka — prawie omł'ala wyprowadz

Kazimierz)

Wy jego przyjaciele — życia uczestnicy,
nieście to martwe ciało, do zamku kaplicy.
Tam Bogu, w żalu naszym, łzami się uskarżem
Tam złożymy, te drogie zwłoki przed ołtarzem,
Do którego mieliście, powieść wczoraj parę,
Słowem wiecznej przysięgi — ślubującą wiare. — 177
(towarzysze księcia podnoszą jego ciało — niosą je.)

KONIEC AKTU IV.

AKT V.

Scena I

Teatr wyobraża pokój w zamku Hrabiego przyległy kaplicy zamkowej.

HELENA — TEKLA

TEKLA.

(prowadząc Helenę z kaplicy)

Oderwij się, od śmierci żalostnej widoku,
I twa łza, choć na chwilę, niech oschnie w twym oku
Pomnij na twych rodziców — boleść — niepokoje.
Pamiętaj że ich życiem — tylko życie twoje. —
Przyrzekłaś do ukrycia ich, wrócić za chwile,
Gdzież jest twoja moc duszy — upadłaś na siłę
Wróć do nich — ciężkie jeszcze czekają nas próby,
Kto wie, czyli się wszyscy ochroniem od zguby.
Zuowu się w okolicy — lud zbiera gromadnie,
I jak trąba powietrzna, horda tutaj spadnie,
Ta co cię wychowała — na klęczkach cię błaga,
Niech się w całej potędze — skupia twa odwaga.

HELENA

(wskazując na kaplicę.)

Dopóki mam go tutaj — tu blisko przy sobie,
 Dopóki mu mieszkania, nie urządzę w grobie
 Od obelg jego drogich zwłok nie zabezpiecze,
 Czeka tu na ich kosy, siekiery i miecze
 Nikt mnie ztąd nie oderwie — wytrwam do ostatka.

TEKLA.

Ale tam z łzami czeka, i ojciec i matka,
 Chcesz ich zabić, żeś córką, zpomnieć wyrodnie,
 I ich zabójstwem, zbójców chcesz uprzedzić zbrodnie
 Pomnij że się rozszalał, od dwóch dni lud wściekły
 Ze strugi najzacieńszej krwi, w mękach pociekły,
 Że mord — rabunek — pędzi od domu — do domu.

HELENA.

Niema go, i rodziców nie ma bronić komu,
 A ten co był ich synem — który w ich obronie
 Powinien był synowskie, wznieść z orężem dłonie
 Uzbroił je dla zbrodni — ku wiecznej zakale,
 Wydarł najdroższe życie, w wściekłym zemsty szale,
 Zdradził swoich — połączył się z zbójceją sprawą
 Czystość chusty Nałęczów — plamą zbryzgał krwawą.

TEKLA.

Nie chciój tak posądzeniom ufać łatwowiernie.
 Może czernisz niewinność. —

HELENA.

Co mówisz? . . . ja czernię
 Koń — odzież — broń — w ucieczki porzucona pędzie,
 Jeżeli dowodem nie jest — cóż dowodem będzie! —
 Henryk mi go wymienił, wśród konania chwili,
 Słowo — śmiercią, ziębnących ust — nigdy nie myli. —

TEKLA.

W jego niewinność, ojciec twój zachował wiarę,
I widzi w nim potwarzy, zbyt płochęj ofiarę.

HELENA.

Ojciec mój dotąd w sercu, pieści tego węża,
On mi jego — zbrodniarza — przeznaczał na męża;
Jakięj się ja to chwili, doczekałam w życiu,
Ojciec — matka — zbawienia szukają w ukryciu,
Lud wiejski, do którego lgnęło moje serce,
Cały się przeistacza, w zbójce i morderce.
Brat zabójcą — a tamten najdroższy na marach.
Za jakież winy, zsyła Bóg kary po karach.
W jakim się nieszczęść widzę wtrącona odmiecie,
Myśl się moja zaciemnia, i mąci pojęcie.

(pada na krzesło w otrętwienie — i rękami twarz zakrywa.)

TEKLA.

Jak bolesne spojrzenie. — Drzy dreszczem — i zbladła
Heleno! w jakież ona, otrętwienie wpadła.
Lodowate jęj ręce — czoło ogniem parzy,
Spieszę — może którego, ublagam z lekarzy.

(wychodzi Tekla na prawo — z lewej strony wchodzi Władysław.)

(Władysław przystępuje do krzesła Heleny.)

WŁADYSŁAW.

Przebiwszy się przez liczne tłumy, krwawym trudem
Dzielnością, konia mego, ocalałem cudem.
I spieszę do was, aby stanąć wam w obronie,
Lub upragniony koniec, znaleźć w szybkim zgonie,
Blisko z tąd motłoch w zbrojne, zgromadza się kupy,
I wyleje się wkrótce, na mordy i łupy.

Dla mnie więzienie bliskie, lub śmierć nie daleka,
Zguba tu niezawodna — niech każdy ucieka.

(Władysław bierze ją za rękę — ona przebudza się z otępienia
wpatruje się w niego i przeraźliwie woła)

HELENA.

Władysław!

WŁADYSŁAW.

Ja Heleno! —

HELENA

Śmiesz stanąć na oczy,
Ty zbrodniarzu! którego krew najdroższa broczy. ³⁰

WŁADYSŁAW.

Wyznaję, że zbytecznym uniosł się zapałem
Przysięga mnie związała — zapóźno przejrzałem
Ona do piekielnego, zmusiła mnie dzieła,
A i miłość wzgardzona, w otchłań mnie popchnęła.

HELENA.

Miłość! — takiej miłości dałeś mi dowody
Wyznawszy swoją zbrodnię, chcesz teraz nagrody
Może myślisz, że kiedyś mych przysięg zapomne
I że zawrę z zabójcą, śluby wiarołomne,
Zdrajco! któryś zapragnął, szczęścia mego zguby.

WŁADYSŁAW.

Ach nie wiń mnie samego, o przerwane śluby.
A jeśli w boju na mnie, krwi prysnęła plama
Cóż miałem, w méj obronie począć? powiedz sama.

HELENA.

Nie w żadnym boju — ale zdradziecko wśród gminu
Dopuszczę się zdrajco — zbojeckiego czynu.

WŁADYSŁAW.

Jakiego czynu? — powiedz nie pojmuję wcale,

HELENA.

Jak to? teraz go będziesz zaprzeczał zuchwale,
Tysiąc ci go z przekleństwem zeznań udowodni,
A i sam dostarczyłeś, dowodów téj zbrodni.
Tę odzież — ten samopał, porzucił zabójca.

(Władysław wpada w zadumanie.)

Może teraz, po rękę mą pójdiesz do ojca.

WŁADYSŁAW.

Ta burka — ten samopał, com otrzymał w darze
Jakże się tu dostały?

HELENA.

Bóg już ciebie karze.

WŁADYSŁAW.

Wyłomacz tajemnicę, ulituj mój męki

(chce ją wziąć za rękę)

HELENA.

(z gwałtownością.)

Ty nie śmiej mnie znieważać. dotknęciem twój ręki,
Związek chytrłości z zbrodnią, w tobie nędzny widzę,
Brzydziłam się już tobą, teraz więcej brzydę,
Ach jeżeli sprawiedliwość boska, jest tam w niebie
Bóg wszystkimi gromami, niech uderzy w ciebie.
Niech twe życie, mąk wszystkich stanie się obrazem
Jakich tylko doznają, wszyscy zbrodnie razem.
Niech cię krwi zapach ściga — i zawsze i wszędzie
Bezsens całego życia, niech twą męką będzie.
Cień twój ofiary, niech się do twych ócz przylepi
A niech ich nocy nawet ciemność, nie oslepi,

W pośród takich męczarni, z bolu wściekle szalój
 A niech Bóg! takie życie, przedłuża najdalój
 I niech najokropniejszym zakończy je zgonem
 Bez pokuty — bez skruchy — stań przed Boga tronem
 W chwili konania, boskiej, nie doznaj opieki
 Przeklinam cię, w tém życiu — przeklinam na wieki.

(wychodzi spiesznie.)

Scena II.

Władysław sam.

WŁADYSŁAW.

Zaikuęła — jakże wściekłym uniosła się szaleń
 Czy to była Helena? — czyli ją słyszałem. —
 Przekląła mnie — miotła przekleństwa straszniemi,
 Chciała jakby piorunem, w proch mnie zetrzyć niemi,
 Wyrzuca mnie zabójstwo — jakiś czyn zbrodniczy! —
 I któż mnie w tę zakrytą otchłań wtajemniczy?
 Czyżem w spisku się sprzysięgł — za to mnie przeklina
 Iżem za ojca, piersi nie nadstawił syna. —
 Czy mniema że prowadzę, te tłumy siepaczy —
 Lecz ta burka — samopał? co to wszystko znaczy.
 O czemuż w miejscu schadzki, wśród powstania chwili,
 Kiedy się na nas, chłopci zdradziecko rzucili,
 Gdy jednych mordowali, wśród obelg i zgrozy,
 Drugim ręce i nogi, pętały powrozy
 Czemuż nie podzieliłem, towarzyszków losu,
 Miłości mój, dla moich usłuchałem głosu,

Trwożę o nich wzbudziłem, w mém sercu zamarłem
 Przebiłem się — tajemni drogami przedarłem
 We dnie, w lasach, w wąwozach szukałem ukrycia,
 A spieszyłem ofiarę im nieść mego życia;
 Ten samopał zbaraski — ach jakie domysły
 I jakie nagłe światła, w méj myśli zabłysły.

(wbiega Tekla.)

TEKLA.

Gdzie Helena?

(sposstrzegając Władysława.)

Ty panie?

WŁADYSŁAW.

Ja Teklo poczciwa
 Twój dawny wychowaniec, twój litości wzywa
 Powiedz mi zaraz — błagam — czyja złość potwarcza
 I jakim to zarzutem, mą sławę obarcza,
 Czemu Helena w gniewie szalonym zaciekła
 Najstraszniejsze przekleństwa — tu na mnie — wyrzekła

TEKLA

(wskazując na samopała.)

Jak to? nie wiesz kto, z tego zginął samopała
 I żadnego, w téj zbrodni, nie miałeś udziału?

WŁADYSŁAW.

Ja nic, nie wiem — i żadna zbrodnia mnie nie plam

TEKLA.

Pójdź za mną — a krwawemi zalejesz się łzami
 Pójdź zadrzysz na ten widok — co ci wytłómaczy
 Nieszczęśliwój Heleny — ten wybuch rozpaczy.

(prowadzi go, w głąb teatru — otwiera drzwi od kaplicy gorejącej
 od światła, i w której leży na marach książę Henryk.)

Patrz.

WŁADYSŁAW.

Co Henryk zabity? Boże z czyjjej dłoni?

TEKLA.

Zabójca jego umknął na jednym z twych koni,
Wśród ucieczki, tę burkę i samopał rzucił
Tym podstępem, na ciebie podejrzenie zwrócił,

WŁADYSŁAW.

Koń był siwy?

TEKLA.

Tak mówią.

WŁADYSŁAW.

Konrad! o mój Boże

Gdzie Konrad? gdzie jest — pokaż, trupem go położe
(słysząc krzyki i zamieszanie.)

TEKLA.

Co za krzyk zamieszanie?

WŁADYSŁAW.

O zbrodnia! o zdrada!

TEKLA.

Pewnie znowu, czerń chłopska na zamek napada.

(wbiega Służący.)

SŁUŻĄCY.

Ratujcie się ucieczką — w ogniu zamek cały
Już płomienie, na górnem piętrze zahuczały,
Bucha ogień przez okna, wre na dachu szczycie,
Chwili, jednej nie traćcie, i unście życie,

WŁADYSŁAW.

Czy jest Konrad? —

SŁUŻĄCY.

Widziałem, jak zbiegłszy z pod dachu
 Umykał w ogród zbladły, i drżący z przestachu,
 Że on zamek podpalił, rośnie podejrzenie
 W jego mieszkaniu pierwsze wybuchły płomienie
 Widziano go — jak pod dach niósł tlejącą główne
 I dla tego to pożar wybuchł, tak gwałtownie.

WŁADYSŁAW.

On zabójca — podpalacz. —

SŁUŻĄCY.

Każdy go oskarża.

WŁADYSŁAW.

Pokaż gdzie zbiegł — ukarać potrafię zbrodniarza
 Śladami jego, w szybkiej puszcze się pogoni
 A z niczyjjej nie zginie, tylko z mojej dłoni.

(wychodzą.)

Scena III.

Teatr wyobraża to samo miejsce w ogrodzie w którym skonał
 książę — widać w oddaleniu zamek w płomieniach.

.(Wchodzi Konrad.)

KONRAD.

Umknąłem nie widziany — nim się puszcze w drogę
 Tam konia przywiązawszy, odetchnąć tu mogę.
 Już żądy zemsty mojej — kończy się męczarnia
 Bo tu skonał — tam ogień cały gmach ogarnia.

Wprawdzie pożar, z Wolfgangiem jest znak umówiony
 Ze ten zamek zostaje, bez straży, obrony,
 Lecz jam zamek podpalił — Serce drga radośnie
 Gdy widzę, jak ten płomień, wznosi się i rośnie
 Ten gmach, w którym się pierwszy bój żądz moich
wszczynał,
 Gdziem kochał — nienawidził — zazdrościł — przeklinał
 Gdzie łask świadczonych, ciężkim przykuty łańcuchem
 Zmysłami używałem — a cierpiałem duchem
 Ten gmach od żarłocznego, pożarty żywiołu
 Zmieni się, w skałę gruzów, i w górę popiołu.
 A przodków wizerunki — i rodu pamiątki,
 Te dawniej zamożności, stariej chwały szczątki,
 I to wszystko, co nowy zbytek nagromadza,
 I te dostatki, których tak, potężna władza,
 To wszystko, czém się ludzie, nadymają próżni
 Te wszystko, co ich od nas, mężów gminu różni,
 Te ściany, w pośród których szczęśliwi oboje,
 Wzajemnie przysięgali sobie, miłość swoje,
 Wszystkie te, jedną iskrą przezemnie rzuconą
 W tym zamku, i z tym zamkiem, w jednej chwili spłoną.
 Coraz mi lżej na sercu, bo patrzę z roskoszą,
 Jak dymu, i płomieni kłęby się podnoszą. —
 Huk pożaru — trzask iskier, trwogi krzyk i jęki,
 Te w chórze połączone, najmilsze mi dźwięki.
 Nienawiść — zazdrość — wzgarda — urazy boleści.
 To wszystko, co w zbolałej pamięci się mieści
 Wspomnienie mąk doznanych, przez tak długie lata,
 Wiatr z tym dymem unosi, i w górze rozmiata,
 I coraz w duszy mojej, wolniej i swobodniej,
 Jak gdyby wszystkie żądze, odstąpiły od niej.

Ach widok tego zamku — stał się dla mnie męką,
 W perzynę go téż, własną obróciłem ręką.
 Bespieczny ja tu jestem — Wolfgang mi dowierza,
 Dotrzymał jednak, naszej przyjaźni przymierza,
 Lecz on wszystkich, mych czynów niedogodny świadek
 Lepiej go sprzątnąć — wszelki uprzędzić wypadek.

(zakłada ręce i patrzy na pożar.)

(Władysław wbiega spostrzegając Konrada — wstrzymuje się.)

WŁADYSŁAW.

Otóż on — wstrzymam zapęd — ażeby dowodnie
 Przekonać się, że on te wszystkie spełnił zbrodnie.

KONRAD

(nie widząc Władysława.)

Już się muszę, od tego oderwać widoku,
 Idźmy więc.

WŁADYSŁAW.

(zachodząc mu drogę.)

Stój, i dalej, nie stąpisz mi kroku. 100

KONRAD.

Ty tutaj. —

WŁADYSŁAW.

Tak ja tutaj — lecz ty powiedz czemu
 Nie stanąłeś przewodzić, powstaniu naszemu,
 Czemuś twych towarzyszy, wciągnąwszy do zmowy
 W chwili stanowczej, twojej nie nadstawił głowy.
 A gdy jedni w kajdanach, drudzy już nie żyją.
 Ty tu krążysz bezpieczny, pod opieką czyją?

KONRAD

Ten kto na mnie nastaje — sprawę naszą zdradza,
 Pamiętaj, że jest przy mnie, dyktatorska władza,

Jakież prawo masz, żądać tłumaczeń odemnie,
 Tamci legli, ty z placu umknąłeś nikczemnie,
 Tu przewodzić — jam w nagłej ujrzał się potrzebie
 Lecz czemu ty tu jesteś, zapytuję ciebie? —

WŁADYSŁAW.

A wielki dyktatorze! bez czci i bez czoła,
 Myślisz, że twa bezczelność zastraszyć mnie zdoła,
 Mów — czyli gdyś zamierzył sobie, zbójcą zostać
 Chcąc zwrócić zarzut na mnie, zmyśliłeś mą postać,
 Odziałeś się mą burką — użyłeś méj broni'
 Powiedz nakoniec, z czyjéj księżé zginął dłoni?

KONRAD

Nie mogę cię zrozumieć — pobamuj się w szale.

WŁADYSŁAW.

(odwodząc kurek od pistoletu.)

Zbladłeś — mów — bo na ziemię starzałem cię powale 110

KONRAD.

Przecież się przyjacielu — upamiętaj w błędzie
 Niech nasza dawna przyjaźń, wstrzyma cię w zapędzie

WŁADYSŁAW

Przyjaźni wzywasz — ja cię do wyznania zmuszę,

Całą mi prawdę odkryj, w pokorze i skrusze.

A zatrzymam dłoń zemsty.

KONRAD.

Żal mnie nie przenika

Zem wśród zapалу walki, zgładził przeciwnika

I cóż ztąd, zem do boju, twojéj broni użył,

Mniemałem zem tą śmiercią, tobiem się zasłużył.

WŁADYSŁAW.

Wyznałeś nikczemniku, twą ohydłą sprawę!

I chciałeś na me imie, rzucić tę niesławę.

Giń — zadrzałeś — lecz w podłej uspokój się trwodze
 Nie zdolnym jest bydź zbójcą, choć zbójcę znachodze.
 Choć prawo krwawej zemsty, służy mi w tój sprawie,
 Pragnąc życia twójego — i moje wystawie
 Masz pistolet i szable — co ci się podoba.
 Albo jeden z nas zginie — albo padniem oba.

(Władysław podaje mu pistolet.)

KONRAD.

Z tobą bić się nie będę — nie z śmierci obawy,
 Lecz że dla świata wielkiej poświęcam się sprawy
 Wyższy jestem, nad poziom zwykłego przesądu,
 Duch się nasz do górnego, winien wznieść poglądu 120
 Pojedynek — zostawmy zwyczajnej młodzieży
 Moje życie, do całej ludzkości należy
 Bić się z tobą nie będę. —

WŁADYSŁAW.

Najnędnniejszy z ludzi,

Myślałeś, że mnie twoja szumna mowa złudzi.

(przykłada mu pistolet — i porywa go za rękę.

Ja cię zmuszę do walki — załrzałeś jak dziecko.

(Konrad dobywa sztyleta i chce ugodzić nim w pierś
 Władysława. — Władysław wyrzywa sztylet.)

Co miałeś mnie sztyлетem ugodzić zdradziecko?
 Sztylet twą bronią — nie chcesz wystąpić z orężem,
 Umiałeś bydź zabójcą — nie umiesz bydź mężem
 Puginały, twych dłoni, wiącćj nie uzbroją
 Już odtąd życie twoje, jest własnością moją —

KONRAD

(drzącym głosem.)

Jam wy dobył tój broni, chcąc siebie ocalić

WŁADYSŁAW.

Słyszysz huczący pożar — kto go śmiał zapalić?

Tam wyrok twojej kary, huczy w tym pożarze

Zginiesz, a zadrzą tobie, podobni zbrodniarze!

(pociąga go silnie za rękę, on się opiera.)

Idź za mną. —

KONRAD.

Gdzie prowadzisz?

WŁADYSŁAW.

Uznaj moję władzę,

Lub ci strzałem mózg z czaszki, w powietrze wysadzę,

KONRAD.

Gdzie mnie ciągniesz? i po co?

WŁADYSŁAW.

Idź kiedy ci każe

KONRAD

Czyś oszalał?

WŁADYSŁAW.

Krwią podłą ręki mej nie zmaże,

Idź powiadam. —

KONRAD.

Nie pójdę.

WŁADYSŁAW.

(uderza go pistoletem — odwraca go i przykłada mu do piersi.)

Na większą ochydę

Mam cię zmusić. —

KONRAD.

Już pójdę.

WŁADYSŁAW.

Idź zaraz.

KONRAD.

Już idę. —

(Władysław trzymając u piersi pistolet wyprowadza Konrada)

Scena IV.

Władysław jedną stroną wychodzi z Konradem, drugą wchodzi
 Hrabia — Witold Wanczar.
 Hrabina prowadzi Helene.

HRABIA.

Razem tracie ny, mienie pocziwy Wanczarze
 Za cóż za nasze winy, Bóg i ciebie karze,
 Przeniósł wicher płomienie, i do twojej chaty.
 Bóg mi kiedyś dozwoli — nagrodzić tve straty.

WANCZAR.

Niech tylko — drodzy państwo — wszystkich was ocale,
 Po moich stratach, krótkie będą moje żale,
 Nowe niebezpieczeństwo, grozi z owęj strony
 A nie ma komu teraz, stanąć do obrony.
 Już się tutaj zbliżają, tłumy rozbójnicze
 A ja wam już schronienia, w chacie nie użyczę.
 Lecz u Skiby znajdziecie, bezpieczną zagrodę
 Idźmy — p zwólcie, niech was do niego powiodę.

HRABINA.

(do Heleny.)

Ocknij się drogie dziecie — jesteś tutaj z nami
 Z głębokości twęj duszy — wylej boleść łzami.
 Sercu tak wezbranemu — ulżyj tym wylewem.

HELENA.

(ocucając się.)

Gdzie jestem? patrzcie -- tutaj skonał pod tém drzewem.

Tu spoczęła na ręce mojej jego głowa

Tutaj jego ostatnie, usłyszałam słowa

Tu znajdę jeszcze, jego krwi krople wylane

Nie, ztąd się nie oderwę -- tutaj pozostane.

140

(biegnie pod drzewo.)

Tutaj w modlitwie, moją myśl utopię w niebie

I w modlitwie, mój drogi, wzniosę się do ciebie

(klęka pod drzewem i zatapia się w modlitwie.)

HRABINA.

Niech się modli -- jedynie dziś modlitwy władza

Łagodzi jęj cierpienie -- żar piersi ochładza. --

HRABIA.

Boże! jakże się w naszej zaciemniło doli

Czy resztę mego szczęścia -- Bóg zbawić dozwoli

Czy będę gdzie miał spocząć, znużonemu czołu?

Z zamku i z częścia mego, dziś mam garść popiołu.

Cóż po szczęściu -- gdy każda nadzieja zamarła,

Kiedy sprawę ojczystą, dziś otchłań pożarła.

Jedna jeszcze rozdziera piersi, rana krwawa,

Że zarzut zbrodni dosięgł -- mego Władysława.

On niewinny -- i niebo płochy sąd ukarze.

On niewinny -- i kiedyś zawstydzi potwarze.

WITOŁD.

Lecz koń -- odzież -- samopał.

HRABIA.

On mówię niewinny

I może wkrótce zbrodniarz, okaże się inny.

WANCZAR.

Spieszmy do Skiby. —

HRABINA.

A gdy zdradzi zaufanie

WANCZAR.

Grozi niebezpieczeństwo.

(wbiega Skiba niosąc juki od siodła.)

SKIBA.

Biegnę do was panie

Widząc że już Józefa, chata w ogniu płonie
Pomyślałem, wraz z moją, o waszej ochronie
Pójdźcie — ja wam domostwo z radością otworze
I bezpiecznie was, w ciemnej ukryje komorze.

WITOŁD.

Co masz w ręku?

SKIBA.

Przez krzaki, gdy tu biegłem cwałem
Konia przywiązane, do drzewa spotkałem.
Koń siwy, z stajni pańskiej — ot tam rzy gdzie jodła.
Te juki przytroczone, znalazłem u siodła. —

WITOŁD.

Pokaż

(z tłumoka wyrzuca papiery.)

Te pisma może dowodów dostarczą
Że o zbrodni Hrabiego — wieść była potwarczą.
To są pisma Konrada! — Więc byliśmy w błędzie.

HRABIA.

Mój Władysław niewinny!

(Tekla wbiega.)

TEKLA.

Niech wam radość będzie
Władysław jest niewinny — Konrad jest zbrodniarzem
Tu uszedł. —

WITOŁD.

Schwyciem zdrajcę — i jak zbójce skarzem.

TEKLA.

On po zabójstwie księcia w swój ucieczce skory
Porzucił broń Hrabiego — by znylić pozory
On i zamek podpalił — wszyscy twierdzą zgodni —
Władysław poprzysiągłszy, karę tyłu zbrodni
Puścił się za nim w pogoń — on tu się gdzieś kryje

HRABIA.

Władysław mój niewinny — niewinny — i żyje!

(słysząc hałas i wrzask — Helena w modlitwie pogrążona na
wykrzyk ojca, Władysław niewinny! ocuca się — i przysłuchuje
się.) —

WANCZAR.

Nowe wrzaski krzyki

WITOŁD.

Nowym pewnie napadem, grozi ten tłum dziki.

160

HRABINA.

(zbliżając się do Heleny.)

Wpółśród natłoku nieszczęść, szczęśliwa godzina
Która utraconego, powraca nam syna.

HRABIA.

Gdzież on jest — niechaj w moje rzuci się objęcia,
On tu w naszej obronie — zastąpi nam zięcia. —
Szukajcie go — szukajcie — czemu nie szukacie.

WANCZAR.

Nie teraz pora — spiesznie schrońcie się tam w chacie
HRABIA.

Hałas ucichł — ach może napad poskromiony
On tam był — on dla naszej pospieszył obrony
Szukajcie go. —

Scena V.

(i ostatnia.)

(Izba w chałupie Skiby.)

Hrabia — Hrabina — Helena — Wanczar — Skiba — Tekla —
wbiega Gustaw.

GUSTAW.

Już w waszój — odetchnijcie trwodze,
Silny oddział konnicy — z miasta wam przywodze,
Bespieczni — zaufajcie obronie téj straży
Motłoch przy niej się na was, natrzyć nie odważy,
Po miastach już się siła wojskowa zgromadza,
Nakoniec się z oblędu, ocuciła władza.
Widzi jak rozkiełznała, podły gmin niebacznie,
Już hamować swawolę, i karcić ją zacznie.
Za późno — bo krwi plamy, nie z czoła nie zetrze
A elektrycznym płynem, przesiękło powietrze.
Duch równości już wionął, zadmie z całej mocy
Zawieje nad Dunajem — dmuchnie ku północy.
Ach myśl tego wybuchu, wyzionęło piekło
Gdy tyle krwi niewinnój, po téj ziemi ściekło.

Przekleństwo dziejów, pamięć tych zbrodni uwieczni.
 Wy zaś teraz możecie -- byź tutaj bezpieczni,
 Na widok wojska — cała ta zgraja zajadła
 Pierzchnęła — i jak gdyby pod ziemię zapadła. —

HRABIA.

Przyjacielu Henryka — uściśnieniem ręki
 Niech ci wyrażę, moją i wdzięczność i dzięki. —
 Ale gdzież jest Władysław? —

GUSTAW.

Zaraz usłyszycie!

Pomnijcie — że potrzebne dla niej wasze życie —
 Niosę wam wieść — co może waszą boleść zmniejszy
 Władysław jest niewinny — z ludzi najzaczniejszy,
 Żywotem swym zasłużył — szlachetny młodzieniec
 Na chwałę bohatera — męczennika wieniec.
 Hamujcie się — miarkujcie boleś ią przejęci
 A cześć i młłość jego ślubujcie pamięci. —

HRABIA.

Co Władysław mój zginął? — Ja temu nie wierzę
 Gdzież on jest: niech tu spiesz. —

GUSTAW.

Gromem w was uderze

Słuchajcie — wszystko powiem. — Kiedym skłonił władze
 By straży udzieliła — sam ją tu prowadze. 190
 Widząc płomieni, dymu, kłęby w zamku stronie,
 Spieszyłem, by nieść pomoc, nim ze szczętem spłonie,
 W całym pędzie rumaka, do zamku dobiegam
 Passujących się ludzi dwóch, przy nim spostrzegam,

Był to Hrabia i Konrad — ten drżący i zbladły
 Ledwie chwiał się na nogach — siły go odpadły,
 Władysław imie moje, dwukrotnie powtarza
 Woła! „Bądź mi tu świadkiem, jak skarzę zbrodniarza.
 „On knuł spiski, a stał się zdrajcą naszej sprawy
 „On tu w kraju, ten wybuch przygotował krwawy,
 „On Henryka morderca — zgłdaził go z zamiarem
 „Ażeby mnie obarczyć, téj zbrodni ciężarem
 „On ten zamek zapalił — on sztyletem zdradnie
 „W pierś moję, chciał ugodzić — niech sam teraz
 padnie
 „Ja panem jego życia — a Bóg mi przebaczy
 „Że go ukarzę karą, godną podpalaczy.
 „Giń — giń — dla zbrodniów tobie podobnych postrachu
 „W tym który zapaliłeś — giń w płonącym gmachu.“
 To rzekłszy, wszystkie siły młodzieńcze ocuca,
 Chwyta go silną dłonią, i w płomienie rzuca. 190
 Przerażony złoczyńca — z płomieni wyskoczył
 Lecz w tém szczyt dachu runął — i zdrajcę przytłoczył,
 I jak gdyby już tonął, w gorejącém piekle
 Raz tylko potępieńca, rykiem zawył wściekle. —
 A Władysław rzekł do mnie: — „Idź powiedz Helenie
 „Jak potwarcze, zrucilem z siebie podejrzenie,
 „Spytaj, czylim jest zawsze, godny nienawiści
 „Powiedz, że jój przekleństwo, w mym zgonie się ziści
 „Że zginę — że przebaczam. — Gdy duch ciało rzuci
 „Ku niéj się swą ostatnią myślą, jeszcze zwróci.“
 A w tém z bliska zawyła, horda rozszalała
 I dziedziniec zamkowy, i ogród zalała. —
 Władysław z szablą w ręku, prosto na nią bieży
 Wolfgang to jój przewodził, w wieśniaczej odzieży

Ale na tłum wrzasnąwszy — „chwycić buntownika!“
 Cofa się — i ucieka — i wśród tłumu znika. —
 Gniewu wściekłego w tłumie, zaryczały głosy,
 Wznoszą się, nad młodzieńcem — widły — pałki — kosy,
 On pada, pod ciosami cepa i maczugi
 Młóca go jak snop zboża — buhają krwi strugi ²⁰⁰
 Próżne me wysilenia, daremna obrona,
 Wyciąga do mnie rękę — spogląda — i kona.
 W tém oddział jazdy wpada w całym pędzie koni,
 Wydiera mnie tłumowi — zastania — i broni.
 Na widok jego cała horda się rozprasza,
 Pierzcha w ciemności lasu, i wygrana nasza.

HRABIA.

Mój Władysław nie żyje!

HRABINA.

Pomnij na twe dziecko. —

HRABIA.

Dla mnie i dla niej, wszystko zamarło na świecie.

GUSTAW.

Na tyle nieszczęść serce pękłoby z opoki. —

HRABIA.

O Boże! skryte Twoje są święte wyroki.

HELENA.

(występując i zbliżając się do Gustawa.)

On niewinny? —

GUSTAW.

Przy zgonie — zabłysł w całej chwale.

HELENA.

On niewinny — a ja go przeklełam w mym szale,
 On niewinny — a nikt mu nie stanął w obronie
 Niewinny — a mnie nawet przebaczył przy zgonie
 Niewinny spotwarzony — a za te potwarze,
 Mści się za zgon Henryka — i zabójce karze.
 Męczeńską śmiercią ginie! — Ach w jakim zamęcie
 Wiruje moja pamięć — wichrzy się pojęcie! —
 Przeklełam niewinnego — drogiego straciłam,
 Co mi więcej po życiu — dosyć się nażyłam. 210
 Wszak oni oba zmarli — a ja żyję jeszcze.
 Jakiś wstręt mnie przejmując — przenikają dreszcze
 Jakiś kamień zgryzoty — piersi moje tłoczy.
 Jakiś zamglony obraz, staje mi przed oczy
 Zimnem cała skościłam — a w głowie żar tleje.

(pada na kolana — chwyta ojca matkę za rękę i głosem
 przeraźliwym mówi ostatni wiersz.)

M.śł się mąci — ach ojcze! ach matko! szaleję. 213

(Zasłona spada.)

KONIEC DRAMATU.







+

600

✓

2189 10

21 11 14

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

71416

Biblioteka WSP Kielce



0227485